W następnym pięćsetnym numerze „Kameny"

Leopold Buczkowski, Tadeusz Chudy, Bolesław Fac, Leon Gomolicki, Jan Górec-Rosiński, Kazimierz Andrzej Jaworski (przekłady z poezji słowiańskiej), Anna Kamieńska, Julian Kawalec, Jerzy Krzysztoń, Jan Lohmann, Władysław Machejek, Barbara Nawrocka, Krzysztof Nowicki, Tadeusz Śliwiak, Witold Zechenter.

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 2 VII 1972 Nr 14 (499) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Fot. A. Polakowski

Jugosławia 1972 (I)

1 dinar czyli...

Marek Adam Jaworski

JEST dzień 26 maja 1972 roku. Godzina 7.30 rano. Ekspres „Polonia" kursujący na trasie Warszawa — Belgrad po ponad 24-godzinnej jeździe, czego nie można uważać za ostatni wyraz kolejowej szybkości, zatrzymuje się na leciwym dworcu stolicy Jugosławii. Energiczni bagażowi, nie pytając, wyrywają mi walizkę z ręki. Jakiś mężczyzna proponuje po niemiecku wygodny pokój blisko stacji za jedyne 40 dinarów. Kiedy nie reaguję, przechodzi na łamaną angielszczyznę obniżając kwotę do 35 dinarów za dobę. W końcu wzrusza pogardliwie ramionami i łapie za ramię kolejnego przybysza: „Zimmer, Zimmer..."

Dworcowy hall. Tutaj podbiega do mnie już dwóch wyrostków. Przekrzykują się po serbsku, by po chwili przejść na niemiecką gwarę. Gdy i to nie skutkuje, próbują — wiedząc, że pociąg jechał przez Budapeszt — mówić po węgiersku. „Nem tu do" — odpowiadam, myśląc, że pozbędę się natrętów. Ale gdzie tam! „Pokój" — ten do spania — powtarza się w kilku językach.

Przed dworcem — długi rząd taksówek. Nie ma żadnej kolejki, nikt się nie pcha. Zajmuję miejsce w wytwornym „Mercedesie" i proszę o podwiezienie do polskiej ambasady. Ulica Kniazia Miłosza jest dosłownie o kilka kroków. Licznik wybija 6,2 dinara. Daję 10 dinarów, kierowca nie kwapi się z wydaniem reszty. Ostatecznie, wręcza mi dwa dinary.

Żar, mimo wczesnej godziny, leje się z nieba. Wczoraj rano opuszczałem Warszawę przy deszczowej aurze. Tutaj, odnoszę wrażenie, od dawna panuje susza.

W ambasadzie właśnie rozpoczyna się praca. Attache prasowy, Antoni Czajer, niezwykle ujmujący „chłopak z Sosnowca", informuje mnie na gorąco o aktualnej sytuacji w Jugosławii, potem dzwoni do

Dokończenie na str. 6

Adresat nie pokwitował

Władysław Huzik

PAMIĘTAM Kołobrzeg z dzieciństwa: ulice obramowane ułamkami ruin, drewniane rusztowania podtrzymujące wypalone oficyny — wszędzie, na każdym kroku zwały gruzów. I morze.

To chyba ta sama ulica, którą kroczę teraz, bo kiedy zapytałem jakiegoś przechodnia, w którym kierunku idzie się do morza, wskazał ręką na wprost przed siebie — gdzie stykają się ponad kępami zieleni dwie kolorowe płaszczyzny, geometryczne mozaiki, ułożone z sześcianików balkonów. Pamiętam, że tak właśnie szliśmy, na północ od dworca. Pamiętam milczenie, jakie zaciążyło nad naszą gromadką, gdyśmy szli środkiem tej szerokiej pozbawionej bruków ulicy, instynktownie wyczuwając grozę wymarłego miasta.

A potem morze — widziane wówczas po raz pierwszy w życiu. I plaża: opadająca ku brzegowi dolina wysypana złocistym piaskiem. Wszystkie kieszenie miałem wypchane kamykami i gorącym jeszcze, ziarnistym piaskiem. Długie lata zazdrościli mi koledzy tego piasku w moim akwarium. Nikt nie miał piękniejszego. Szkoda, że nie wiem nawet, gdzie się to akwarium podziało...

...Trzy godziny biegałem po mieście jak kot z pęcherzem, szukałem materiału dla mego pisma, zziajałem się, wymieniłem w aparacie pięć rolek filmu, a raz omal nie spadłem z mola na łeb do wody. Wreszcie spokój. Siedzę na ławce, tuż obok betonowego obelisku, w miejscu, gdzie żołnierze polscy — po wiekach po raz pierwszy — doszli do morza. Klamra historii — patetyczna.

I nagle ich zobaczyłem: dwu mężczyzn, którzy nie odpłynęli z tłu-

Dokończenie na str. 6—7

Kłusownicy

Maciej Podgórski

WYDAŁO się to wszystko głównie za sprawą małżeńskiej wiarołomności. Miłość i gniew — można powiedzieć. Relacjonuje Danuta K.:

„Mój mąż i Eugeniusz S. często wypijali wódkę, a w międzyczasie Eugeniusz S. załatwiał sprawy ze mną, znalazł okazję, jak mąż się gdzieś odwrócił, to mnie wręczał kartkę, na której pisał, gdzie mam wyjść, że on mnie będzie kochał, uwielbiał, takie różne sprawy miłosne. Ja te kartki przyjmowałam i od razu paliłam, bo się bałam męża, a na wskazane miejsca wychodziłam, gdzie odbywaliśmy sprawy intymne. Zapałałam do Eugeniusza S. miłością, pokochałam go i zaczęłam do niego pisać listy, które oddawałam mu osobiście do rąk... Raz poszłam z nim nad rzekę. On tam zdjął kożuch, pod nim miał jakąś długą broń, odłożył ją na bok i usiedliśmy na kożuchu. Zaczął mi opowiadać na mojego męża straszne rzeczy na tle kobiet, a potem odbył ze mną stosunek płciowy. Po tym wstaliśmy, broń tę włożył pod kożuch, nałożył na siebie kożuch i rozeszliśmy się".

Ową broń, strzelbę myśliwską, tak zwaną samoróbkę albo samodział, kupił Eugeniusz S. za 600 zł od męża Danuty K., Zygmunta, jesienią 1969 roku, kiedy jeszcze obaj panowie byli w najlepszej komitywie, jako że łączyły ich wspólne interesy, no i wspólna... niewiasta, choć zdradzony mąż niczego nie podejrzewał. W akcję wkracza wszelako żona Eugeniusza S.: „Doszło do tego, że mąż mój nawiązał bliższe stosunki na tle miłosnym z Danutą K. Początkowo przyjaźnili się pokryjomu, a ostatnio dało mi się to zauważyć i z tego powodu zrobiłam mężowi wymówki... Wtedy mąż opowiedział mi, jakie miał z nią przeżycia, a nawet, ile dawał jej pieniędzy, przez co uszczuplał nasz i tak niewielki budżet rolniczy. Danuta K. tak się zbliżyła do męża, że nawet pisała do niego szereg listów o treści miłosnej, że jego kocha, ażeby mąż dobrze się odżywiał, że przyjdzie taka chwila, że będą razem oboje..."

Dokończenie na str. 7

Zofia Dormanowska

Lato

Wolno nam przeżyć to lato
Przywołane pieśnią dziewcząt nad jeziorem
Święto słońca nocy i płomienia
Święto zwierząt kotnych jak ziemia

Pogrzebane ziarno żyje kłosem
Świerszcze modlą się do gwiazd
O trwanie o trwanie o trwanie
Tego czasu — czasu zmiłowania

Słońce gubi się w wysokich trawach
I czerwono świeci przez powieki
Czyjeś ręce witały dziewczynę
Czyjeś ręce żegnają kobietę

Nad głogami ciężka miodem pszczoła
Nieruchomym kwiatom daje ślub
Nieruchomym jak ci nieświadomi
Nim wąż płaski łeb wysunął z liści

Uwolnione od lęku na chwilę
Na mchu miękkim bawią się zwierzęta
Ciepła życiu przyjazna jest ziemia
Nie pamięta że będzie mordować
Jesienią

Zbigniew Strzałkowski

* * *

Temu
którego łaski napełniają domy strumieniem pieśni
a wnętrza jaskiń rozkwitają sadem zimowym — cześć.
On mówi o jej dłoniach.

Z rozkazu jego i miłej uściskiem objęty drży kwiat.
Zapala się cerkiewna noc — tęcza ptakiem wybucha.
On trzyma jej pierś.

To jego śpiew wyprzedza melodia pasterza — białe stado
jak górski potok mknie w tryptyk wiosny — gloria!
On śpiewa o jej ustach.

teatrnn.pl

KULTURA 1972

Literatura

● W przyszłym roku odbędzie się w Warszawie zjazd przedstawicieli zarządów głównych związków pisarzy państw socjalistycznych. Wniosek taki przyjęto jednogłośnie na tegorocznym zjeździe w Ułan Bator.

● Wrocławski Oddział ZLP obchodził 25-lecie istnienia. Liczy on obecnie 52 członków, w tym 12 kobiet. W ciągu 25 lat literaci dolnośląscy wydali ponad 300 tytułów książkowych.

● W ciągu trzech tygodni czerwca na Ziemi Zwoleńskiej odbywały się różne imprezy w ramach „Dni Twórczości Jana Kochanowskiego".

● W konkursie literackim na nowelę filmową, który mogłaby posłużyć jako podstawa do scenariusza filmu fabularnego o sprawach młodego pokolenia, pierwszej nagrody nie przyznano. Dwie równorzędne drugie nagrody otrzymali: Kazimiera Kociszewska z Zielonej Góry za „Pierwszą ucieczkę" oraz Mieczysław Olbromski z Warszawy za „Najpiękniejszą".

● W czerwcu minęła setna rocznica urodzin bajkopisarza, satyryka, publicysty, autora książek dla dzieci, a także dramaturga i tłumacza — Benedykta Hertza. W październiku zaś minie 20 rocznica jego śmierci.

● W Mongolii ukazało się pierwsze tłumaczenie „Pana Tadeusza", którego autorem jest Rinczen Yongsiyebu.

● W jednej z bibliotek Leningradu odnaleziono dwa wiersze nieznanego dotąd poety rosyjskiego z XVIII wieku. Autorem okazał się Polak, Jan Białobłocki, który po wielu wędrówkach w różnych krajach Europy osiedlił się w Moskwie.

● W ciągu minionego dwudziestolecia na rynku wydawniczym NRD ukazało się około 450 przekładów z polskiej literatury pięknej. Jeden tylko tłumacz z Berlina, Henryk Bereska, ma na swoim koncie 20 przekładów, a wkrótce w jego tłumaczeniu ukaże się następna pozycja — „Mała księga" K. Brandysa.

● Czołowe pismo literackie w NRD — „Neue Deutsche Literatur", organ związku pisarzy tego kraju, obchodziło dwudziestolecie istnienia. Wydano w tym czasie 250 numerów objętości 5 tys. arkuszy.

● Największym powodzeniem we Włoszech cieszą się dzieła klasyków literatury oraz tzw. „książki różowe" — sentymentalne powieścidła dla „dobrze wychowanych panienek". Rekordy poczytności bije tu 90-letnia Liala Sordi-Negretti, autorka 41 tego rodzaju „powieści".

Teatr

● W przyszłym roku PWN wyda „Słownik biograficzny teatru polskiego". Na 180 arkuszach druku znajdzie się 6 tysięcy biogramów aktorów, reżyserów, scenografów, dyrektorów teatrów, kierowników literackich, śpiewaków operowych, solistów baletu i dyrektorów orkiestr teatralnych od roku 1765 do 1965. Biogramy osób zmarłych później będą ukazywały się co 5—10 lat w suplementach.

● Wrocławski Teatr Pantomimy przez 20 dni występował w Portugalii, Francji i Włoszech, dając 25 spektakli.

● W ostatnich dwóch latach w woj. koszalińskim powstało 48 amatorskich teatrzyków kukiełkowych, przede wszystkim na wsi w oparciu o koła ZMW i kluby Ruchu.

● Po pokazaniu „Biesów" na IX Festiwalu Londyńskim, zespół krakowskiego Teatru Starego został zaproszony na przyszłoroczny, jubileuszowy festiwal, w którym wezmą udział najlepsze zespoły europejskie, występujące w poprzednich imprezach.

● Karierę na paryskiej scenie „Baston Gaty" na Montparnasse robi angielska burleska pary Conney i Chapman, pełna romansowych nieporozumień, pomyłkowych randek, przewracających się kelnerów, upadających tac, poklepywania nie tych osób, o które chodzi itp.

● Sztuka „Twigs" zrobiła wielką furorę w jednym z teatrów nowojorskich. Wszystkie cztery wiodące role kobiet grała Sada Thompson, zdobywając liczne nagrody. W wersji filmowej owe role ma grać Elisabeth Taylor.

Sztuka

● W warszawskim Muzeum Narodowym otwarto — jedyną na świecie — galerię sztuki nubijskiej. Obejmuje ona freski, rzeźby, inskrypcje, kolumny itp., odkryte w Nubii przez polskich archeologów w okresie ostatnich 10 lat. Odkrycia w Faras uważa się za jedną z największych sensacji archeologicznych ostatnich dziesięcioleci.

● W dniach od 15 do 25 czerwca odbyły się w Warszawie I Ogólnopolskie Targi Plastyki Współczesnej, impreza o charakterze artystyczno-handlowym. Oferowano około 10 tys. obrazów, rzeźb, grafik, ceramiki, tkanin, wyrobów ze szkła i metalu.

● Laureatem konkursu na Pomnik Matki-Polki został architekt Jerzy Gurawski z Opola. Zamiast tradycyjnej rzeźby będzie to kompleks budynków zespołu opieki nad małym dzieckiem.

● W wyniku sygnału ze spółdzielni produkcyjnej w Nieproszowicach — pod Pińczowem znaleziono liczne pozostałości osady z okresu rzymskiego i początku naszej ery, należące do tzw. kultury przeworskiej.

● Ekspozycja skarbów Tutenchamona, czynna obecnie w Londynie, na jesieni powędruje do ZSRR. O ekspozycję ubiegają się również Szwecja, Włochy, Dania i NRD. Decyzja należy do rządu egipskiego.

● „New York Times" ujawnił, że w ostatnich 20 latach Metropolitan Museum sprzedało 15 tys. dzieł sztuki, zresztą w tajemnicy, że podobnie postępują inne muzea amerykańskie. Z jednej strony chodzi o zdobycie środków na utrzymanie placówek, z drugiej istnieją przy tej okazji możliwości różnych nadużyć.

Muzyka

● Orkiestra symfoniczna Filharmonii Wrocławskiej występowała ostatnio w Berlinie zachodnim, wkrótce zaś wyjeżdża do Włoch, a następnie do Rumunii.

● W Międzyzdrojach kończy się VII Festiwal Pieśni Chóralnej, w którym bierze udział siedem najlepszych chórów polskich, cztery zagraniczne i jeden polonijny.

● Na festiwalu młodych muzyków w Bordeaux (Francja) Grand Prix i złoty medal zdobył pianista Piotr Paleczny, a srebrne medale skrzypaczka Magdalena Rezler i „Kwartet wilanowski". Na konkursie w Paryżu w kategorii głosów męskich i nagrodę zdobył tenor Paulos Raptis.

● 83-letni kompozytor Witold Friemann, niedawny laureat nagrody ministra Kultury i Sztuki, w czasie III Konińskiej Wiosny Kulturalnej otrzymał obywatelstwo honorowe Konina.

● Przewodniczącym jury na festiwalu w Opolu został Stanisław Stampfl.

Film

● Grand Prix i Złotego Lajkonika na XII Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych zdobył „Hair" Marka Piwowskiego.

● Zakupiono dwie ostatnie serie monumentalnego filmu radzieckiego „Wyzwolenie". Noszą one tytuły: „Bitwa o Berlin" i „Ostatni szturm". Na polskich ekranach ukażą się w listopadzie.

● Innokientij Smoktunowski zakończył występy w „Małej tragedii", gdzie gra rolę Mozarta.

● Każdy Bułgar chodzi do kina przeszło 13 razy w ciągu roku. Jest to jeden z najwyższych wskaźników w Europie. Produkcja krajowa w Bułgarii obejmuje 20 filmów rocznie.

● Na zlecenie włoskiej telewizji Antonioni nakręca w Chinach film dokumentalny o tym kraju.

Różne

● Grupa polskich płetwonurków przy współpracy naukowców z Muzeum Morskiego w Gdyni przystępuje do poszukiwań resztek 40 statków, zatopionych pod Rozewiem w roku 1512 w czasie bitwy pomiędzy flotyllą kupców holenderskich a flotą Lubeki.

● W roku bieżącym wrocławskie Ossolineum wyda 474 tytuły książkowe, czyli o 30 więcej niż w roku ubiegłym.

● Polski zespół polonijny „Karolinka" w Liege obchodził uroczyście 15-lecie istnienia.

● Pierwszą książką, która ukazała się na Łotwie, był katechizm wydany w języku łotewskim w roku 1585. Drukował ją w Wilnie Polak, zwany Danielem z Łęczycy. Jedyny egzemplarz tego wydawnictwa znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej w Upsali.

● 200 rocznicę urodzin Napoleona upamiętniono w Paragwaju serią znaczków pocztowych, w tym znaczka z podobizną Marii Walewskiej według obrazu Gerarda Francisa.

● Uszkodzona Pieta Michała Anioła zostanie naprawiona tak, że nawet z bliska będzie trudno dostrzec ślady. Potrwa to jednak prawie pół roku.

● 72-letni Vittorio de Sica otrzymał wreszcie oficjalny rozwód i również we Włoszech może zalegalizować swoje kolejne małżeństwo z aktorką hiszpańską Marią Mercader.

● W Warszawie odbyły się w połowie maja XVII Międzynarodowe Targi Książki. Wzięło w nich udział 1500 wydawców z 20 krajów, pokazując łącznie 85 tys. tytułów. Przeważała literatura techniczna i naukowa.

● Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" obchodzi 50-lecie istnienia pod hasłem „50 lat w przyjaźni z dzieckiem i szkołą". W okresie powojennym placówka ta wydała 5800 tytułów dla dzieci w nakładzie 250 mln egz., ponadto wydaje 10 czasopism dla dzieci i młodzieży.

● Zmieniony regulamin tegorocznego konkursu czytelniczego „Złotego Kłosa" przewiduje, że najwyżej będą punktowane argumentacje wyboru danego utworu, a nagrody organizatorom czytelnictwa będą przyznawane nie za udział ilościowy, ale pracę merytoryczną.

● W Perniku, stolicy bułgarskiego zagłębia górniczo-hutniczego, odbyły się „Dni polskie".

● W roku ub. wydano w świecie prawie pół miliarda tytułów książkowych. Najwięcej książek ukazało się kolejno w ZSRR, USA, NRF, Wielkiej Brytanii, Japonii, Francji, Hiszpanii, Indiach, Holandii i Polsce.

● Na świecie czynnych jest 14700 nadawczych stacji telewizyjnych, liczbę telewizorów ocenia się na 251 milionów.

● W Trieście odbyła się prapremiera nowej opery Gian Carol Menottiego pt. „Najważniejszy człowiek". Akcja jest współczesna, toczy się w państwie afrykańskim, gdzie absolutną władzę sprawują biali. Muzyka przypomina w swej fakturze melodie Pucciniego. Menotti napisał także libretto oraz sam reżyserował.

● Treścią ukończonego właśnie filmu koprodukcji radziecko-fińskiej jest powstanie, które wybuchło w 1906 roku w twierdzy Sveaborg, strzegącej wjazdu do Helsinek, a którym dowodzili oficerowie-bolszewicy.

● W sierpniu 1975 roku, w 30 rocznicę śmierci aktora, ukaże się książka Edwarda Krasińskiego „Żywot Jaracza", druga tego rodzaju pozycja dla teatromanów po „Żywocie Osterwy" J. Szczubiewskiego. Równocześnie Krasiński rozpoczął pracę nad monografią Arnolda Szyfmana.

Lubliniana

● Prezesem nowego zarządu Oddziału ZPAP został Antrzej Kołodziejczyk, wiceprezesami Jarosław Łukawski i Ryszard Lis, sekretarzem Zbigniew Strzałkowski.

● W ramach rewizyty Teatr im. J. Osterwy pokazał w Jassach trzy spektakle: „Kartotekę" Różewicza, „Pokojówkę" Geneta i „Wyzwolenie" Wyspiańskiego.

● Wśród osób, które zostały ostatnio odznaczone za udział w kampani wrześniowej oraz w Powstaniu Warszawskim, jest sekretarz naszej redakcji Jerzy Dostatni, który otrzymał Srebrny Medal „Zasłużonym na Polu Chwały".

● Ukazał się po raz piąty informator „Co, gdzie, kiedy w Lublinie" wydany przez WOIT, a napisany przez Al. L. Gzelię.

● Dotychczasowe Studium Pielęgniarstwa przy AM od nowego roku akademickiego zostaje przekształcone na Wydział Pielęgniarstwa.

● Zespół taneczny „Gracji" przez tydzień występował w Czechosłowacji, a przygotowuje się do występu na festiwalu w Austrii.

Kamena str. 2

Wśród uczniów i nauczycieli w NRF

Zmęczenie i rezygnacja

BYNAJMNIEJ nie mam zamiaru usprawiedliwiać chuligańskich wybryków naszych nastolatków. Ilekroć rozmawiam z nauczycielami, opowiadają mi o niesubordynacji swych wychowanków, żalą się na rodziców, a co starsi pedagodzy kiwają głowami... Nie tak drzewiej bywało.

A jednak — cokolwiek mówiłoby się złego o dzisiejszym polskim uczniu — nie notujemy takich drastycznych wypadków, o jakich doniósł niedawno zachodnioniemiecki „Der Spiegel". Rada pedagogiczna jednej z hamburskich szkół podstawowych w dzielnicy Neurahlstadt zmuszona była nawet wystąpić z dramatycznym apelem do rodziców, który głosi m. in.:

Przybiera na sile brutalność uczniów we wzajemnych stosunkach. Plują na siebie, biją się, nawzajem niszczą ubrania. Ich niekontrolowane napady zagrażają zdrowiu kolegów. Terror, groźby, szantaż — są na porządku dziennym. Dzień w dzień traci się trzecią część czasu przeznaczonego na naukę, ponieważ należy czekać na spóźniających się uczniów, którzy zachowują się prowokująco i przeszkadzają w prowadzeniu lekcji. Prace domowe albo nie są wcale wykonywane, albo są wykonywane źle. Nieznośni uczniowie zakłócają klimat pracy.

Ten sam „Der Spiegel" podaje inne drastyczne szczegóły. Oto w pewnej szkole wchodzi do klasy nauczyciel języka angielskiego. Podbiega do niego uczeń z plakatem, na którym widnieje napis następującej treści: „Czy miał pan dziś w nocy stosunek płciowy? Jeśli tak, proszę się uśmiechnąć".

Oto w innej szkole cierpiący na astmę nauczyciel wspina się na czwarte piętro. Zdyszany, przed rozpoczęciem lekcji, zwraca się do swych wychowanków ze słowami: „Czy mogę na chwilę otworzyć okno?" Odpowiedź brzmi: „Musimy wniosek poddać pod głosowanie". W głosowaniu wniosek upada. Okno pozostaje zamknięte.

„Der Spiegel" informuje, że w wielu zachodnioniemieckich szkołach zniesiono obowiązek kłaniania się uczniów nauczycielom. Regułą stało się, zwłaszcza w szkołach wielkomiejskich, rozpoczynanie lekcji bez powstawania z miejsc i witania nauczyciela. Uczeń często nie wstaje, gdy chce zabrać głos. Forma „panie profesorze" zniknęła zupełnie, wyjątkowo tytułuje się starego, zasłużonego pedagoga.

Wszędzie słyszy się skargi, że zarówno chłopcy jak i dziewczęta niszczą sprzęt szkolny i meble. Nagminne są wypadki kradzieży w sklepach samoobsługowych. Uczniowie kradną też swym kolegom co cenniejsze przedmioty, z płaszczy nauczycieli giną pieniądze, z laboratoriów fizycznych i chemicznych — części aparatury. Zalane tuszem ściany, połamane i podziurawione ławki, pulpity, stoły, potłuczone klosze od lamp — to obrazki powszednie. W takiej sytuacji stawianie uczniom niedostatecznych czy obniżonych ocen ze sprawowania zakrawa na kpiny. Toteż niektóre szkoły, np. w Hamburgu czy w Szlezwiku-Holsztynie, wypróbowują inny rodzaj kary: uczniom, którzy przeszkadzają innym i niszczą sprzęt, po prostu zakazuje się przychodzenia na lekcje. Zakaz obowiązuje w ciągu miesiąca. W tym czasie uczeń zobowiązany jest do nauki w domu i musi znać cały przerabiany w szkole materiał. To jest dla niego ostatnia szansa, aby nie stracił roku.

Kolejny problem — palenie papierosów. Nauczyciele szacują, że około 50 proc. uczniów i 20 proc. uczennic pali nałogowo. W niektórych szkołach, kiedy walka z nałogiem nie dawała żadnych rezultatów, grona pedagogiczne po prostu skapitulowały i zezwoliły uczniom, którzy ukończyli 16 rok życia, palić w czasie przerw. Na palarnie przeznaczono specjalne pomieszczenia. Sytuację pogarsza fakt, że i narkotyki mają wielu zwolenników w murach szkolnych. W tej sytuacji trudno się dziwić, gdy „Der Spiegel" cytuje takie stwierdzenia:

12-letnia dziewczynka: „Nie chcę być stara. W 24 roku życia skończę z sobą".

11-letni chłopiec. „Nie dożyję 2000 roku. A może przedtem nastąpi koniec świata?"

Tego rodzaju nastroje — stwierdza „Der Spiegel" — *rodzą się z lęku przed niepewną przyszłością. Gdy uczeń zostaje na drugi rok w tej samej klasie, wcale nie traktuje tego jako nieszczęścia. Przeciwnie, ma przekonanie, że dłużej o rok będzie żył z daleka od świata, wobec którego i dorośli stają często bezradni.*

Tygodnik tak pisze o postawach dzieci i młodzieży:

— Dzieciom w wieku 11—14 lat najtrudniej jest się skoncentrować. Pasjonujący film kryminalny, który poprzedniego wieczoru oglądali w telewizji, pasjonuje ich bardziej niż nauka w szkole.

— Młodzież od lat 14—16 wypróbowuje swoje swobody i bada granice tym swobodom nałożone. Często stara się robić to, czego robić nie powinna. Właśnie ta grupa najwięcej pali i opuszcza najwięcej godzin lekcyjnych.

— Młodzież od lat 17 do 19 pracuje bardziej intensywnie niż młodsze roczniki. Wpływa na to okres przedmaturalny, obawa, że złe stopnie na świadectwie utrudnią dostanie się na wyższe uczelnie.

A jaki jest sąd pisma o nauczycielach? Zdaniem „Der Spiegel" wielu spośród nich po prostu nie nadaje się do zawodu. Tygodnik cytuje opinię psychologa, prof. Kamratowskiego z Berlina zachodniego, który tak mówi: „Nauczyciele, zwłaszcza młodzi, mają zbyt wyidealizowany obraz człowieka i są bardzo wrażliwi. My byliśmy kiedyś bardziej gruboskórni i mniej obciążeni wątpliwościami. Kiedyś nauczyciel wiedział wszystko lepiej, mógł być dla dzieci opiekunem i autorytetem. Dziś nauczyciel powinien wierzyć w totalne równouprawnienie i z tym właśnie nie może dać sobie rady".

Ciekawe są też spostrzeżenia pisma na temat samej szkoły. „Der Spiegel" dostrzega w niej takie sprzeczności:

— Szkoła decyduje o szansach w przyszłym zawodzie ucznia, chociaż sama jest raczej oddalona od życia.

— Szkoła ciągle traktuje uczniów jako istoty bezpłciowe, chociaż chłopcy i dziewczęta dojrzewają dziś znacznie szybciej niż w poprzednich pokoleniach. Według przeprowadzonych badań co trzeci chłopiec i prawie co trzecia dziewczyna w wieku 16 lat mieli już stosunki płciowe.

— Szkoła nadal uczy tak jak dawniej: wbija wiedzę do głów zamiast... uczyć uczenia się.

— Programy szkolne są przeładowane balastem wiedzy zbędnej. Brak wiadomości ze świata dzisiejszej techniki, nauk ścisłych itp.

— Szkoły są przepełnione. Nauczyciele nie są w stanie przerobić ze wszystkimi programu. Procent uczniów drugorocznych jest zbyt wysoki.

Koło zamyka się: jest duży pęd do szkół średnich typu technicznego czy innych, dających zawód. Stąd szczególne przepełnienie w tych właśnie zakładach. Im więcej uczniów zgłasza się do szkół, tym mniejsze możliwości rozsądnego uczenia w przepełnionych klasach mają nauczyciele. Nie są oni po prostu w stanie pomóc tym uczniom, którzy tej pomocy najbardziej potrzebują.

W tej sytuacji nie można się dziwić samym nauczycielom, o których dolnosaksoński minister oświaty, Oertzen, mówi: „Część stanu nauczycielskiego zdradza oznaki zmęczenia i rezygnacji".

A tymczasem urzędnicy kuratorium ciągle jeszcze wierzą, że w klasie przywróci się porządek, jeśli kilku najbardziej agresywnych uczniów pośle się do szkół specjalnych.

Wiara w „wyleczenie" klasy przez usunięcie z niej „zarazy" — stwierdza „Der Spiegel" — *jest z gruntu błędna. Ten, kto w to wierzy, w ogóle nie rozumie, jak wielki kryzys autorytetu opanował całe szkolnictwo NRF.*

(j)

Za Bugiem

W ROKU 1970 zaczął się pojawiać najobszerniejszy z dotychczasowych „Słownik języka ukraińskiego", zaplanowany na 10 dużych tomów. Mówi się, że jest to pierwszy „tłumacznyj słownyk" języka ukraińskiego w historii leksykografii Ukrainy. „Tłumacznyj" znaczy to samo, co rosyjskie „tołkowyj", a więc „opisowy, objaśniający, jednojęzyczny".

Największe z dotychczasowych słowniki języka ukraińskiego miały charakter dwujęzyczny, a mianowicie: cerkiewnosłowiańsko-ukraiński (L. Zyzaniusza — 1596, P. Beryndy — 1627), ukraińsko-rosyjski lub rosyjsko-ukraiński — kilka słowników w XIX wieku, najobszerniejszy 4-tomowy sprzed Rewolucji Październikowej B. Hrinczenki, 6-tomowy z lat 1953—1963, ukraińsko-niemiecki J. Żelechowskiego z lat 1882—1886, polsko-ukraiński w 3 tomach wydany w Kijowie w latach 1958—1960 i inne.

Z wydawanego obecnie słownika doszły do nas na razie tylko dwa pierwsze tomy. Pierwszy zawiera 1803 wyrazy rozpoczynające się od litery A, 4538 wyrazów od litery B i 11736 wyrazów od litery W — razem 18077. Biorąc pod uwagę te dane można z grubsza obliczyć, że cały słownik zawierać będzie około 180 tysięcy wyrazów. Jest to dużo, największy dotąd słownik ukraińsko-rosyjski (z lat 1953—1963) zawierał „tylko" 120 tysięcy wyrazów ukraińskich.

Omawiany słownik opracowany jest przez zespół leksykograficzny Instytutu Językoznawstwa Akademii Nauk Ukrainy w Kijowie. Autorzy wykorzystali dużą ilość źródeł literackich, naukowych i publicystycznych od końca XVIII wieku po dzień dzisiejszy, wzięto również pod uwagę dotychczasowe słowniki. W spisie źródeł widnieje 25 najważniejszych pozycji z literatury politycznej, różnorodne utwory około 200 najważniejszych pisarzy, najlepsze tłumaczenia 22 pozycji pisarzy, takich jak

A. Puszkin, W. Majakowski, M. Szołochow, M. Gorki, Goethe, Nurns, Boccaccio, Homer, Gogol, a również „Pan Tadeusz" A. Mickiewicza w tłumaczeniu M. Rylskiego na język ukraiński. W spisie umieszczono także wiele zbiorków folklorystycznych, a nawet twórczość naukową i popularno-naukową, krytyczno-literacką, podręczniki z różnych dziedzin, informatory, pamiętniki i in.

Każde hasło słownikowe oceniane jest z punktu widzenia dzisiejszej normy językowej, słownik bowiem ma charakter opisowo-normatywny. Z tego więc punktu widzenia pewne wyrazy oceniane są jako pozostałości historyczne, dialekty, prowincjonalizmy, rzadkie neologizmy, terminy używane w pewnych tylko specjalnościach itp. Każdy wyraz oceniany jest również gramatycznie (jaka to część mowy, ważniejsze i podstawowe końcówki). Następnie opisywane jest po ukraińsku znaczenie owego słowa. Zdarza się bardzo często, że wyraz ma kilka znaczeń. Użycie wyrazów w różnych znaczeniach czy funkcjach ilustrowane jest cytatami z wymienionych wyżej źródeł. W zasadniczym układzie „Słownik języka ukraińskiego" podobny jest do „Słownika języka polskiego" wydanego niedawno w Warszawie pod redakcją prof. Witolda Doroszewskiego.

Tom drugi słownika zawiera wyrazy rozpoczynające się od litery H, D, E, Je i Ż (należy pamiętać, że kolejność liter w alfabecie ukraińskim, podobnie jak i w rosyjskim, jest inna niż w polskim). Wydrukowany został w roku 1971. Na następne tomy z niecierpliwością czekają nie tylko ci, którzy językiem ukraińskim zajmują się naukowo, teoretycznie. Słownik ten bowiem znacznie ułatwi pracę tłumaczom, lingwistom, naukowcom innych specjalności, umożliwi orientację w wielowiekowych skarbach języka ukraińskiego. Będzie to dzieło fundamentalne, wyjątkowo ważne w historii kultury ukraińskiej.

M. L.

Ocalić od zapomnienia

Ireneusz J. Kamiński

„Mając już około r. 1870 przeszło setkę odrysowanych... zabytków drewnianego budownictwa Polski przedrozbiorowej, widziałem jak w ciągu następnych lat kilkunastu prawie wszystkie znikły one doszczętnie bądź w pożarach, bądź rozebrane skutkiem starości"

– Zygmunt Gloger w „Budownictwie Drzewnym..." z 1907 r.

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki ogłosiło kampanię „Kultura ludowa — dobrem narodu", która ma na celu m.in. uruchomienie pomocy społecznej w dziele ratowania pozostałości budownictwa drewnianego, sztuki ludowej, obrzędów, zwyczajów, form tanecznych i muzycznych — powstałych na wsi i zanikających. Oczekuje się od społeczeństwa pomocy w zbieraniu informacji o istniejących zabytkach etnograficznych, o żyjących jeszcze i działających twórcach. Koordynacją kampanii, obliczonej na cztery lata, zajmą się przede wszystkim muzea okręgowe, które od początku roku przygotowują się do niej organizacyjnie i propagandowo. Po 28 latach wprowadzania kultury ludowej w nurt kultury narodowej stajemy przed koniecznością rozwinięcia wieloletniej i szeroko zakrojonej akcji, nacelowanej na skuteczne zabezpieczenie dorobku materialnego i duchowego wsi polskiej. Obsesyjny nadmiar troski, czy realne rozpoznanie sytuacji? Jednak to drugie.

Stoimy na progu rewolucji cywilizacyjnej, która w swym materialnym kształcie skierowana jest przeciw tradycji. Za 15—20 lat *wieś w klasycznym rozumieniu tego słowa musi przestać istnieć. Wieś jest zjawiskiem gospodarczo-społecznym niewspółczesnym... W przyszłej wsi nie do pomyślenia będzie zagroda oddalona od zagrody o kilkaset metrów* — mówił prezes SARP, Henryk Buszko, w wywiadzie udzielonym „Tygodnikowi Kulturalnemu". Jeszcze wcześniej, za 5—7 lat, znikną z polskiego pejzażu stare wiatraki, chałupy, młyny wodne, od dawna nieczynne olejarnie: bo są zmurszałe, praktycznie nieprzydatne, urągające wyobrażeniom rolnika o gospodarskim awansie, całkowicie zbyteczne. *Wprawdzie jeszcze w tej chwili góral na Podhalu* — zauważa Buszko — *buduje nowy dom z nowych materiałów na wzór swojej starej chałupy. Kryje papą wysoki łamany dach. Ale należy się spodziewać, że zmiana warunków pracy na roli, mechanizacja, ukształtują nowe potrzeby, wymagania i zamiłowania mieszkańców wsi. Tradycyjna chałupa, niedogodna w użytkowaniu, stanie się obiektem dla skansenu.*

Tradycyjna kultura ludowa jest sprawą zamkniętą, faktem historycznym, tak jak do przeszłości należy podłoże społeczne i warunki życia, które ją kiedyś wydały. Próby galwanizacji sztuki i muzyki ludowej przynoszą jeszcze zdrowe, autentyczne w swych treściach i formach, efekty, lecz widać już, w niedalekiej perspektywie, kres tej twórczości, która ostanie się zapewne tylko pod postacią stylizacji. Starzy malarze i rzeźbiarze ludowi zbliżają się do schyłku życia, wraz z nimi odchodzi w przeszłość określony typ świadomości kulturowej i wrażliwości estetycznej. Niejako metodyczne i zinstytucjonalizowane poszukiwanie kontynuatorów wśród młodego pokolenia jest w gruncie rzeczy nieporozumieniem, czyli próbą skonstruowania samobieżnych maszynek, produkujących masówkę „artystyczną", zamkniętą w tradycyjnych schematach formalnych, podbarwionych współczesną anegdotą i symbolem. Poezja ludowa, poza doprawdy nielicznymi przypadkami, wprost prosi o dalszą pomoc panią Marię Konopnicką i pomniejszych młodopolan...

Ale niektóre przejawy owego faktu historycznego, o których bez żenady można powiedzieć, że należą do znakomitych wartości kultury polskiej, walą się w proch i pył, zatracają swoją czystość w procesie przemian cywilizacyjnych. Dotyczy to przede wszystkim zabytków budownictwa drewnianego, zawierających bodaj największe bogactwo informacji o życiu warstwy chłopskiej, jej zmyśle technicznym, mentalności, także o wrażliwości estetycznej. Sztuka ludowa, odkryta dopiero przy końcu ubiegłego wieku przez kulturę artystyczną, elitarną, a faktycznie zaakceptowana w czasach Polski Ludowej — znajduje się w nieco innej sytuacji, o czym już wspomniano. Warto przecież wskazać na jeszcze jeden moment, ilustrujący hierarchię kultury ludowej w rozumieniu współczesnych.

Kapele i gawędziarze ludowi, zespoły pieśni i tańca występujące na dożynkach i festiwalach folklorystycznych, malarze i rzeźbiarze, tkaczki publicznie prezentujące swoje umiejętności — te postacie sztuki utożsamiły się po wojnie w ogóle z kulturą ludową, przynajmniej w opinii ogółu, któremu bez wytchnienia podsuwano je przed oczy, jako że były najlepszym, najbardziej skutecznym narzędziem polityki kulturalnej państwa, zmierzającej do wyrównania klasowych dysproporcji. Ideowa i społeczno-propagandowa przydatność tej sztuki uzasadniała jej preferowanie przez państwo, co z czasem doprowadziło do — jak to trafnie określa znany etnograf poznański, Józef Burszta — zjawiska folkloryzmu, inaczej mówiąc do zalewu stylizacji. Równocześnie m. in. dzięki działalności „Cepelii" sztuka ludowa stała się towarem, szczególnie chodliwym po roku 1956, kiedy to w sukurs polityce kulturalnej przyszła moda na „ludowość". Kto mógł, kradł świątki z przydrożnych kapliczek, kto nie miał tyle inicjatywy, kupował „frasobliwego" na kiermaszu. Wszyscy w nabożnym skupieniu słuchali grupy skiflowej „No To Co", a Kazimierz Grześkowiak — chłopsko-syntentyczny ironista — dzielił naród na wrogie sobie obozy.

Biadolenie nad tym zjawiskiem nie ma sensu, każda kultura czerpie z zasobów swojej poprzedniczki czy sąsiadki, wartości artystyczne zmieniają się i mieszają, pojęcie autentyzmu jest przypisane do konkretnej formacji historycznej, która wykształca system norm weryfikujących oryginalność i prawdę dzieła sztuki. Pieśń ludowa interpretowana przez „Skaldów" nie jest autentycznym utworem ludowym, ale jest na pewno autentyczną piosenką pop-music z lat sześćdziesiątych. Jeśli ją akceptujemy, etnograf nie ma nic do powiedzenia.

Konkretna przydatność społeczna i walory handlowe sztuki ludowej odwróciły jednak uwagę od szczególnie elokwentnego, choć milczącego pomnika kultury ludowej, jakim jest niewątpliwie budownictwo drewniane. Wiatrak z połamanymi skrzydłami — jaką on wartość przedstawia w oczach rolnika, prezesa geesu, kolekcjonera świątków chociażby, kierownika wydziału kultury, który musi zapewnić „część artystyczną" dla okazjonalnej akademii? Żadną, albo czysto symboliczną. Nawet to ostatnie widzenie w przerażająco rzadkich przypadkach ma okazję przekształcić się w praktyczne działanie w obronie zabytku. Bo jest ono możliwe tylko w odpowiednich warunkach finansowo-organizacyjnych.

W Polsce istnieje kilka skansenów: w Olsztynku, Nowogrodzie, Sanoku, Zubrzycy Górnej, Nowym Sączu, Chorzowie i Opolu. W stadium projektowania lub organizacji znajdują się placówki w Chęcinach, Nowej Hucie i w Maurzycach koło Łowicza. Od 1970 r. rozpoczęło działalność organizacyjną Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie, zlokalizowane znakomicie, w centrum miasta, w terenie pełnym dojrzałej zieleni — jak słynny skansen sztokholmski, odwiedzany rocznie przez dwa miliony osób. Te muzea kultury ludowej nie są w stanie zgromadzić jej reprezentatywnego, wyselekcjonowanego bogactwa — skansen w Nowogrodzie ma rozmiary mikroskopijne — a przynajmniej zmagazynować zabytki na użytek przyszłych pokoleń.

W szczególnie kłopotliwej sytuacji znajduje się Muzeum Wsi Lubelskiej. Istnieje trzeci rok, a jego dyrekcja, pracownie naukowe, częściowo magazyn, pracownia fotograficzna i biblioteka zajmują obskurny barak na dziedzińcu Zamku, składający się z dwóch pomieszczeń o łącznej powierzchni 24 metrów kwadratowych. W takich warunkach rodzi się strategia zdobywania terenów pod przyszły skansen — o ataku frontalnym na z góry upatrzone pozycje nie ma mowy! — opracowuje się dokumentację zabytków, załatwia coraz liczniejszych interesantów, przygotowuje scenariusze wystaw, bezpłatnie wypożyczanych różnym instytucjom. Przekazanie odpowiedniego lokalu dla potrzeb administracyjnych i naukowych MWL odwleka się w nieskończoność, wciąż wyłaniają się „obiektywne" przeszkody, uniemożliwiające przydział właściwego miejsca na ziemi placówce, której działalność powinna być preferowana, bo rzecz dotyczy kultury ludowej Lubelszczyzny.

Słusznie nazwano nasz region zagłębiem etnograficznym. Cywilizacja wielkoprzemysłowa nie sponiewierała jeszcze tej ziemi, przez którą przebiega jedna z dwu najciekawszych granic etnograficznych w Europie. Spotkać tu można chałupy z dachem podkasanym, z pokryciem „perelkowym", kominy sztagowe, domy szeroko — i

Dokończenie na str. 10

Wiatrak (wieś Ludwinów, pow. chełmski). Fot. Archiwum

Janka Kupała

Przegląd pola (z poematu „Ona i ja")

Jak wielki świat! Nie zliczyć tych obszarów,
Które dziadowie przekazali nam:
Tu lasy, gaje, zieleń łąk i parów,
A tam rozzłoci się wnet żyta łan.

Dziś z tobą pragnę spędzić czas, kochanie,
Ramieniem ciepłym więc się do mnie zbliż.
Ja ręką mocno cię obejmę w stanie,
Pójdziemy w pole, tam, gdzie stoi krzyż.

Jak zapomniane przez świat cały dzieci
Obejrzym pólko nasze z wszystkich stron,
Na miedzy ciepłej, gdzie słoneczko świeci,
Porozmawiamy, jaki będzie plon.

Nie mało czeka na nasz trud zagonów,
By w porę obsiać tylko, w porę zżąć!
A potem cieszyć się bogactwem plonów,
Gdy się na wozie poczną snopy piąć.

Tak idąc obok miłej swej szczęśliwy,
Objąwszy kibić jej sprężystą w pół,
Gdzie orać wpierw, gdzie najpierw siać – myślimy,
Tak się nadziei naszych wątek snuł.

Pod krzyżem siedliśmy, co widniał w dali,
A obok drugi stał i trzeci krzyż,
A myśmy w jasny świat się wpatrywali
I dusze nasze wzlatywały wzwyż.
I obszar niebaśmy błogosławili,
Przez który strumień naszych myśli biegł,
Z wdzięcznością tamtą wspominając chwilę,
Co los złączyła nasz po wieków wiek.
Błogosławiliśmy radości wiosen
I słońca krąg, co nam promienie słał,
A przeklinali tylko śmierci kosę,
Co wzniosła krzyże leżących tu ciał.
1913

Maksym Tank

Przenosimy urnę z prochami Janki Kupały

Długo nie ważyliśmy się przenosić
Urny poety na jego ziemię rodzinną,
By jeszcze nie pomnażać bólu
Tej, co na świat go w cierpieniach wydała,
Krwawiła na drogach frontowych,

Dymiła głowniami ruin.
Myśleliśmy: gdy zaleczymy rany
I zaorzemy wojenne okopy,
Wypielęgnujem na popiołach zboże
I znów kołyski powiesimy w chatach –
Nie taka ciężka i ta urna będzie.

Ale czas się okazał bezsilny.
Z latami wciąż bardziej i bardziej
Czuliśmy ogrom tej straty.
Dlatego, gdy urnę poety niesiono
Na miejsce jego wiecznego spoczynku,
Każdy tak się uginał pod ciężarem prochu,
Jak nie pochylał się pod kul ołowiem
Ani pod jakim nieszczęściem i burzą.

Przełożył K. A. Jaworski

Janka Kupała (1938 r.).

Janka Kupała

MICKIEWICZ napisał: „Litwo! Ojczyzno moja!" Białorusini piszą o Mickiewiczu: „nasz ziomek (zjamljak), imieniem którego szczyci się naród polski... Tak już zrządził nasz niełaskawy los, że i on nazywał Białoruś oficjalnie, posługując się językiem władców — Litwą" („Śród takich pól... O ziemi, która natchniała Mickiewicza", Mińsk 1968, s. 3).

Dlaczego Mickiewicz nie napisał: „Polsko! Ojczyzno moja!"? — spytał mnie kiedyś jakiś narodowy bigot, chociaż wszystkim wiadomo, że Mickiewicz był poetą polskim i rzadko kto tak jak on wzbogacił polską kulturę.

Zaczął się wówczas najpłodniejszy okres w jego twórczości".

Janka Kupała urodził się 7.VII. 1882 roku w Wiazynce pod Mińskiem, zmarł 28.VI.1942 roku w Moskwie, i mija właśnie 90-ta rocznica jego urodzin oraz 30 rocznica jego śmierci. W Lublinie mieszka Wincenty Stankiewicz, którego siostra była żoną poety i który był przyjacielem Kupały oraz świadkiem kolei jego życia. Wincenty Stankiewicz opowiedział mi następującą anegdotę z życia poety:

„W roku 1916 zostałem przeniesiony z moim pododdziałem z Mińska do Płocka. Oczekiwaliśmy właśnie z Kupałą, który także był w wojsku, na mińskim dworcu na pociąg do Płocka. Zaszliśmy do restauracji I klasy. Wówczas w carskiej armii zwykłym żołnierzom nie wolno było przebywać w restauracji I klasy, chyba że uzyskaliby pozwolenie najstarszego rangą oficera znajdującego się akurat na sali. Znałem ten przepis, a ponieważ Kupała był szeregowcem, zwróciłem się z odpowiednią prośbą do siedzącego akurat za stołem generała Gurki w imieniu białoruskiego poety w stopniu szeregowca. Gurko zezwolił nam na zjedzenie obiadu i zechciał osobiście poznać poetę, którego wiersze czytał. Janka podszedł, stanął na baczność, porozmawiał z generałem, który pochwalił jego poezje, po czym poszliśmy do swego stolika. W tym momencie wszedł na salę jakiś pułkownik i widząc zwykłego żołnierza w restauracji I klasy, a nie widząc generała, podszedł do Kupały i mówi: ubirajsia od siuda, won! Janka już miał zamiar odejść, ale wtedy podniósł się zza stołu generał Gurko, podszedł z tyłu do pułkownika, odwrócił go i zapytał: wy kto takoj? Ten zameldował, że jest pułkownikiem Miasojedowem. Wówczas generał: ja, powiada, sam zezwoliłem zjeść obiad temu żołnierzowi, który jest bardziej znanym i cenionym człowiekiem od niejednego pułkownika. Na co Miasojedow zdetonował się i odszedł. Po kilku tygodniach dowiedziałem się, że Miasojedow okazał się szpiegiem niemieckim, został oddany pod sąd polowy i — wbrew nawet obronie samego cara — powieszony. Car Mikołaj zażądał, aby Miasojedowa wraz z aktami wysłać do Moskwy. Generał Gurko kazał Miasojedowa powiesić i dopiero wtedy wraz z aktami sprawy odesłał go do Moskwy. Ale ta anegdota świadczy o popularności Janki Kupały".

Oczywiście, prawdziwą sławę i uznanie zdobył Kupała dopiero w Związku Radzieckim. Odznaczono go orderem Lenina.

Z zachowaniem wszelkich proporcji — Janka Kupała nazywał się Jan Łucewicz i urodził się oraz wychował w rodzinie zbiedniałego polskiego szlachcica, a nawet pierwsze utwory pisał po polsku i drukował w „Ziarnie". Mimo to był poetą białoruskim, gdyż nie tylko żył i pracował na Białorusi, ale właściwie prawie wszystkie swoje wiersze pisał w języku białoruskim i — jak podaje „Mały słownik pisarzy narodów europejskich ZSRR" — „poezja Kupały przyczyniła się do wzbogacenia i urozmaicenia języka białoruskiego, udoskonaliła i urozmaiciła typowo białoruską strofę, poszerzyła możliwości wersyfikacyjne".

Ten sam „Mały słownik..." podaje, że po Rewolucji Październikowej Kupała „jeszcze przez kilka lat borykał się ze sprzecznymi wyobrażeniami o znaczeniu tego przewrotu dla Białorusi... W latach trzydziestych poeta całkowicie przyjął program rewolucji socjalistycznej.

Pociej

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem
JAN POĆEK

Zapole

Nr 2 (18) 2 VII 1972 Rok VI

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

O „Zapolu" inaczej

Aby nie unikać spraw „groźnych i konkurencyjnych", a takie nie popadać „w narcyzm i apatię" — jak chce kol. Adam Fiala (patrz „Głos Młodzieży" nr 4, Kraków 1972 r. A. Fiala: „Jeszcze o KKMP" korespondencja), niniejszym artykułem Fiali, napisanym tym razem dla „Zapola", sygnalizujemy skromnie 5-lecie kwartalnego dodatku lubelskiego ośrodka KKMP „Zapole", któremu 31 marca br. „stuknęło" równe 5 lat.

Zainteresowanych omawianą problematyką odsyłamy do cytowanego n-ru „Głosu Młodzieży".

W ciągu pięciu lat napisano wiele pozytywnych, jak również co najmniej kontrowersyjnych zdań na temat „Zapola", jeszcze więcej wypowiedziano przy różnych okazjach. Zespół redagujący nie zamierza wypowiadać się o „Zapolu", tym więcej oceniać je w minionym 5-leciu. Głos w tej sprawie oddajemy zainteresowanym czytelnikom. Numer „Zapola" poświęcony 5-leciu ukaże się we wrześniu br.

Dwa kluby

MIJA pięć lat od ukazania się pierwszej wkładki „Zapola". Były wzloty i upadki, różnie przyjmowano nasz dodatek, niechętnie nieraz, czasami ironicznie, ale zawsze wywoływał on jakiś odzew u czytelników, nawet w literackiej prasie Krakowa. Jakiekolwiek by ktoś miał o naszym dodatku swoje zdanie, jedno musi przyznać, mianowicie fakt, że „Zapole" trwało, trwa do dziś, i miejmy nadzieję, że dzięki przychylnemu stanowisku redakcji „Kameny", będzie wydawane i przez następne lata.

Może trochę niefortunna nazwa, kojarząca się czytelnikowi nie obeznanemu dokładnie z terminologią wiejską, z czymś drugoplanowym, marginesowym. Może czasami więcej serca niż myśli, ale w tym okresie powstało i zmarło śmiercią naturalną wiele szumnie anonsowanych grup poetyckich, obliczonych na tani efekt i poklask goniącego za nowinkarstwem snoba. „Zapole" jest, można powiedzieć, prasowym organem lubelskiego ośrodka KKMP. Długoletnia to już instytucja, szczyci się wieloma znakomitymi nazwiskami w skali ogólnokrajowej. Niektórzy członkowie KKMP są równocześnie członkami Związku Literatów Polskich.

Wydawałaby się taka sytuacja paradoksem, przecież KKMP jako organizacja, kształtująca rozwój życia literackiego i kulturalnego poszczególnych regionów kraju, powinna rozgraniczać swą działalność. W niektórych ośrodkach istnieją zresztą pewne różnice zdań między kołami młodych przy oddziałach ZLP, a Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy. Trwa walka podjazdowa o nowych członków, notuje się zjawisko przechodzenia z jednego klubu do drugiego. W ośrodku lubelskim od samego początku panowały tendencje integrujące. Już kilka lat temu, kiedy zamiast Koła Młodych przy ZLP istniał Klub Literacki, większość członków tego Klubu należała równocześnie do KKMP. Statutowo KKMP daje większe pole do popisu, ponieważ przede wszystkim kładzie nacisk na działalność kulturalno-oświatową w tzw. terenie, natomiast Koło Młodych ma profil wyraźnie literacki.

Moim skromnym zdaniem, a jestem długoletnim członkiem KKMP i równocześnie członkiem Koła Młodych, integracja ta jest ze wszech miar pożytecznym zjawiskiem. Twórcy nie ograniczają się jedynie do polonistycznych dyskusji literackich nad hermetycznymi wielekroć tekstami, lecz myślą przede wszystkim o szerokim odbiorcy, do którego trzeba przemówić zrozumiałym językiem. I przede wszystkim słuchać jego głosu.

Adam Fiala

Notujemy

Ukazał się kolejny numer Biuletynu KKMP „Regiony" (1972, nr 10—11), który na niemal 140 stronach przynosi wiele interesujących materiałów. Znajdują się tu m. in. „Wytyczne Sekretariatu Krajowej Rady KKMP na rok 1971/72", artykuł J. Kajtocha pt. „Rodowód społeczny i kulturalny młodych pisarzy", nowe utwory poetyckie członków KKMP, komunikaty i informacje o konkursach literackich, wreszcie aktualne adresy wszystkich członków i sympatyków KKMP.

*

W kwietniu, maju i czerwcu br. członkowie lubelskiego ośrodka KKMP odbyli w klubach, bibliotekach i szkołach łącznie ok. 20 spotkań autorskich oraz prelekcji i czytań. Brali w nich udział m. in. kol. kol. Krystyna Makuła-Trochimiuk, Jerzy Chłodnicki, Ryszard Kornacki, Tadeusz Kwiatkowski, Roch Sęczawa, Stanisław Łukowski, Waldemar Michalski, Henryk Makarski, Wacław Gutowski, Józef Malek, Janusz Olczak, Zbigniew Strzałkowski, Jerzy Jedziniak i Stanisław Żurek.

WaM

*

Stanisławowi Weremczukowi wypada pogratulować. Milczał długo, wierszy nowych nie drukował, a tu masz! Napisał dramat o życiu M. Kopernika i sztuka zyskała nagrodę na konkursie ZLP w Olsztynie. Czyżby w środowisku lubelskim objawił się nowy dramaturg?

*

Wstyd (a może radość)? przyznać, że np. w Gardzienicach nie gorzej niż w Lublinie. W Uniwersytecie Ludowym w ostatnich tygodniach spotykali się ze słuchaczami pisarze: Z. Trzeska, A. Kamieńska-Śpiewakowa, J. Przeździecki. Aktorzy: P. Wysocki, W. Krzyszczak, Płastyk M. Tokarczyk i publicyści — J. Grabowicz, Z. Kałużny, E. Starczewska. Naukowców nie wymieniamy, bo kto w prasie wymienia nazwiska naukowców? Chyba krytyka doktora Jacka Kajtocha z Krakowa.

*

W „Dniu Działacza Kultury" wśród nagrodzonych lubelskich literatów odczytano nazwisko kol. S. Łukowskiego. Gratulujemy.

JeCh

Kol. Józef Malek, prezes lubelskiego oddziału STL, w „Dniach Oświaty Książki i Prasy" otrzymał odznakę „Zasłużony Działacz Kultury".

*

Ciekawostką tegorocznych „Dni Oświaty" jest fakt zorganizowania przez Woj. Przeds. „Ruch", przy współpracy TWP m. in. 15 spotkań autorskich kol. Rochowi Sęczawie, które odbył w klubach kultury powiatu parczewskiego.

*

Poezja w coraz niższej cenie! „Głos Młodzieży" nazwiska autorów zamieszczanych w tym piśmie wierszy wymienia po „notach" oraz „listach do redakcji"... tą samą czcionką, na szarym końcu. Może wcale nie drukować?

*

Dołączając nasze najlepsze życzenia na jubileusz srebrnych godów Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego RWS „Prasa" w Krakowie, ślemy je również dla „Głosu Młodzieży" z okazji 15-lecia tego pisma, które minęło w marcu br. „Głos Młodzieży Wiejskiej" (obecny „Głos Młodzieży") od 1964 roku przeszedł pod skrzydła RSW „Prasa" w Krakowie, poszerzając rodzinę pism krakowskich tego Wydawnictwa.

*

Z okazji „Dni Zielonej Góry" Wydział Kultury PMRN, Tow. Przyjaciół Zielonej Góry, Oddział ZLP oraz redakcja „Nadodrze" ogłaszają tradycyjny „Konkurs otwarty" na wiersz (cykl, lub poemat) o tematyce winobraniowej, w którym udział może wziąć każdy, bez względu na zamieszkanie. Opatrzone godłem niepublikowane teksty w 3 egzemplarzach należy przesyłać na adres „Nadodrze", Zielona Góra, ul. Żeromskiego 2 z dopiskiem „Konkurs na wiersz winobraniowy", w terminie do 31.VIII. br. Jury przyzna nagrody I — 2000 zł, II — 1500 zł, III — 1000 zł oraz 2 wyróżnienia po 500 zł, a „Nadodrze" opublikuje nagrodzone wiersze.

*

W tegorocznej „Łódzkiej Wiośnie Poetyckiej" aż dwu naszych kolegów zostało nagrodzonych. Kol. M. Kawalko otrzymał II nagrodę, a kol. S. Łukowski wyróżnienie.

JeJ

Jerzy Chłodnicki

Bajka

przyjdzie dzień że nie będziemy
musieli się straszyć
stanie się jasne dlaczego
czarymaryfuk
i zaklęta przez niego rodzina
człowiecza
poddawali się strachom i świat
czarowali

to takie proste kiedy jeden kamień
znaczy tyle
co świat a jedno ludzkie pragnienie
tyle co wybuch — jedno oka
mgnienie
gdy znaczy Wieczność i gdy
nic nie znaczy

zawojowani do dna naszych jaskiń
opanowani jesteśmy
a wolni nie musimy wymawiać zaklęć
wystarczy kilku wiarołomców

tak wierzę i nie boję się dnia
gdy wracając z podróży przez życie
ktoś powie bracie umieramy co dzień
nie potrzebny jest wam
czarymaryfuk

Jerzy Jedziniak

* * *

Ludziom to bieli

posłuchaj ciszy
minuty kalekie
złośliwy czas
liczą

tężeje w oczekiwaniu
odejście bólu
dzień noc
dzień noc
odmiana kolorów
niepewności oczekiwania
dewaluacja wartości
wytrzymałości siebie

tam
na krawędzi
ktoś potknął się
o własną śliskość
nadzieje w ciszy
posłuchaj
cisza krzyczy

Henryk Kozak

* * *

Ktoś czekał na mnie
przed laty
za rogiem domu
gdzie zaczyna się jesień
Ktoś modlił się
płakał w nocy
jeszcze dziś
ta miłość boli

Henryk Makarski

Majaki senne

popatrz za siebie — oto się zgromadził
brązowy naród — naród marmurowy
galeria w płótno oprawionych twarzy
portretów epos — ciał doskonałości
i symboliczne napomknienie —
nie można trzymać obu końców sznura
nie dbając o to jak się je połączy

cóż więc za błędnym kołem historii się kryje
któż z nas to może wiedzieć kiedyśmy zamknięci
w ognistym kręgu przyczyn takoż wiecznych skutków
naszej krótkowzrocznej pamięci

najdoskonalsze zamknięcie kierunku
przy kości oka nam się zamazało
a więc zszarzały wszelkie perspektywy
wszelkie tęsknoty w szczęście fizjologii
w świat znamion naszej odrębności

w miejsce zgrzybiałej nieciągłości
można przedstawić ciągłość wprowadzoną
świat jest wnioskami zaludniony
historia leży martwa pod stodołą
cóż jest podstawą uwielbienia —
słodkie okrutne zadziwienie
świat zbudowany na skutkach nadziei
staje się cieniem ponad nieba cieniem

ja o historii i o świecie bardzo
choć świat z cokołów tylko dostrzec można
lekkomyślnością albo i niedbalstwem
patrzeć gdy wiatr całunem w oczach

więc czuję jeszcze tylko dłonie
więc one myślą one patrzą
czy jeszcze pływam czy już tonę
w ziemi stwardniałej bardzo

krot ma świadomość historyczną
bo choć zarosły ziemią ślepia
to nosem trąca kości już spróchniałe
i pustkę widzi w czerepach

lekkomyślnością albo i niedbalstwem
nawet w szczególnym zabarwieniu winą
wydać się może pomruk kreta
miedzianogłowym orłekinom

więc niech porasta miedź patyną
pękają mury i przedmurza
może nim tysiąclecie minie
krety spod ziemi się wynurzą
i okiem ziemią zarośniętym
zechcą zobaczyć słońce — ale
oko porośnie wiatrem który
dmie w chorągiewek chytre żagle

Kol. Janusz Olczak, z wykształcenia polonista, zdobył w tegorocznym konkursie LSW II nagrodę za tom prozy „Białe kołnierzyki" oraz wyróżnienie za powieść „Uniwersytety i wampiry cherążego Liszaja". Obie pozycje oczekują na wydanie w LSW. W Wydawnictwie Lubelskim ukaże się powieść Olczaka „Baśń o wielkim Marantzie".

Poniżej prezentujemy jedno z opowiadań.

Wycieczka, która poszła swoimi drogami

Właściwie to nie ma w tym nic dziwnego, że nas, leśników, wywozi się czasem na wycieczki do wielkich miast, albowiem — jakby to można było powiedzieć — jest to tylko inna odmiana dżungli. Jasne, że zabłądzić tam łatwiej niż w naszej puszczy posadzonej przed 45 laty, jakby na grządkach, po pamiętnej dla leśników klęsce z lat dwudziestych.

Sam nie wiem dlaczego znalazłem się w bocznej uliczce, choć przecież dobrze znałem to miasto w którym nie było nic do zwiedzania, bo najstarszy budynek, kościół, liczył chyba ze sto lat, w najlepszym wypadku z okładem. Można powiedzieć tyle, co stary człowiek, tylko że stary człowiek to chyba ciekawszy przypadek niż kościół jako stulatek.

Zagadaliśmy się o czymś we trójkę, ale Stasio, człowiek bystry i przedsiębiorczy, koniunkturalista w razie potrzeby, szybko połapał się w sytuacji i zatęsknił do głównych, pieszych szlaków turystycznych, bo szła nimi sama Dyrekcja, z którą zresztą czasami był na bakier. Może więc nie chciał z nią zadzierać przynajmniej na służbie i tak zostaliśmy sami we dwoje.

Pokazałem jej na samym początku dom, w którym urodził się czy wychował słynny w minionych sezonach żużlowiec. Zrobiłem to ze szczerego sentymentu, bo motocykl był przydatny nie tylko w jego życiu, ale i w moim. Potem zupełnie już przypadkowo zobaczyliśmy zaloty dwu psów, prawdziwą psią miłość pomiędzy kołami samochodów, rowerów i nogami przechodniów. I tak odbyło się to wszystko pod domem tego słynnego żużlowca, a wątpię, czy jest w tym mieście dom bardziej zabytkowy i szacowny, przynajmniej dla dzieci, które stanowią tu gros turystów, bo nas leśników nie ma co liczyć w szerszej skali.

Wtedy dopiero otworzyły się przed nami atrakcje miasta, i siedząc w coraz innej kawiarni zastanawiałem się, czy by nie warto było przenieść się służbowo do centrali. O mało wtedy nie poszliśmy do jakiegoś hotelu, choć przecież hotel mieliśmy zapewniony jako członkowie wycieczki.

Przyjrzałem się jej wtedy lepiej niż zwykle i spodobała mi się, bo słuchała uważnie tego, co mówię, choć to ja dotąd uchodziłem za milczka, a ona za gadułę. Mówię wam, zacząłem w niej odkrywać wspaniałego człowieka i nie zmieniłem zdania do dziś. Jest nas tak mało w tych wszystkich leśniczówkach, a przecież odnaleźliśmy się dopiero niemal na środku ruchliwej ulicy. Mówię wam, byłem zdumiony, choć mało mówię.

Obeszliśmy wszystkie kawiarnie i mieliśmy ich dosyć, a przy okazji i teatru, do którego nie poszliśmy marnując bilety. Dawano akurat jakąś sztuczkę dla przedszkolaków.

Jak człowiek w mieście wyjdzie z domu albo z knajpy, to właściwie nie ma gdzie usiąść, o ile nie liczyć tych wiecznie zapchanych ławeczek wymiętoszonych przez młodzież.

Postanowiliśmy zobaczyć, co jest trochę dalej za miastem. Człowiek nigdy nie wysadza nosa poza główne ulice i nawet na parudniowej wycieczce robi się od razu prawdziwym mieszczuchem. Jednak im bardziej brnąć w miasto, tym bardziej staje się ono nędzniejsze. Rzednie, zapada się w ziemię i jak gdzie pięknie wygląda, to na horyzoncie za plecami, szczególnie jak jest otoczone wiankiem nowych osiedli, które najlepiej prezentują się na tle nieba. Miasto piękniejsze jest od lasów na horyzoncie.

Tak to wyszliśmy za miasto i mówię wam, teraz dopiero zaczęła się dla nas prawdziwa wycieczka, choć to wyglądało trochę na dezercję. Może dlatego mi się tu tak podobało, że w ogóle nie było lasów. Jakieś jeziora, łączki, łyse pagórki. Człowiek szedł skacząc oczami po tym wszystkim, a kiedy zapadł wieczór, to byliśmy już za daleko nogami i myślami od tego hotelu, w którym czekali na nas koledzy i puste łóżka.

Trochę pieszo, trochę koleją, wróciliśmy wreszcie do siebie, w trzy dni po całej wycieczce i mówię wam wszyscy nas wypytywali o wrażenia, choć ani ja, ani żona nie byliśmy tak ciekawi, co ich spotkało w drodze od czasu, jak się ze sobą rozminęliśmy w dwu zaułkach. Mówię wam, jestem prawdomówny, a wszyscy się ciągle o to pytają.

Janusz Olczak

„Zapole" Nr 2 (18) redagowali:
Jerzy Jedziniak
Waldemar Michalski
Henryk Makarski

Kamena str. 4

OPIS w Puławach

Jerzy Dostatni

KRYPTONIM tej akcji został doskonale dobrany. I właściwie trudno powiedzieć, czy najpierw wybrano kryptonim, a potem pod jego brzmienie dopasowywano działanie — czy też odwrotnie. Faktem jest, że akcja OPIS okazała się ciekawa i wychowawcza dla wykonawców, a pożyteczna dla nas wszystkich. OPIS zaś tłumaczy się jako Ochrona Przyrody i Środowiska, akcja podjęta na podstawie uchwały plenum Zarządu Głównego ZMS przez członków tej organizacji ze szkół średnich. Akcja, która objęła cały kraj, także i Lubelszczyznę.

Zarząd Powiatowy ZMS w Puławach oraz tamtejszy Uniwersytet Robotniczy podsumowały tegoroczną działalność nie tyle uroczyście, co rozsądnie i pożytecznie, organizując w Domu Nauczyciela sesję popularno-naukową na temat zarówno ogólnych jak i lokalnych problemów ochrony środowiska. Tu trzeba zrobić duży ukłon w stronę naukowców z miejscowego IUNG-u. Dr Tadeusz Górski, dr Zygmunt Jakubczak oraz mgr Józef Gądor mówili o tych sprawach trzymając się ściśle wyników badań naukowych, a zarazem bardzo popularnie i — co nie nazbyt często zdarza się na tego rodzaju sesjach — ciekawie.

Na puławskie Zakłady Azotowe w ostatnich latach posypało się tyle oskarżeń i pretensji za zatruwanie środowiska, iż właściwie wszyscy kolejni dyrektorzy i kierownicy produkcji rozmaitych działów powinni podawać się do dymisji jako zaciekli wrogowie ludzkości, którzy chcą wytruć przynajmniej mieszkańców powiatu puławskiego. Tymczasem sprawa wcale nie jest tak prosta.

Po pierwsze: kto znał nieco kulisy spraw rozgrywających się tuż przed lokalizacją Azotów koło Puław, pamięta, że wtedy sprawa wyglądała tak — albo zostaną zbudowane właśnie w tym miejscu, gdzie są obecnie, albo znajdą się w innym województwie. Po drugie: mimo niewątpliwych szkód w przyrodzie, jakie wyrządziły (wbrew uroczystym zapewnieniom dziesiątków naukowców i praktyków), sytuacja nie jest aż tak zła, jak się to często przedstawia. Oto fakty.

Wielki przemysł zanieczyszcza atmosferę z reguły pyłami z kominów oraz trującymi związkami siarki. Przykładem chociażby Śląsk. Największym emitorem pyłów w Puławach powinna więc być tamtejsza elektrociepłownia. Ale nie jest, gdyż na kominie działają bardzo dobre elektrofiltry, a ponadto szczególnie wysoki komin powoduje znaczne rozproszenie szkodliwych substancji i gazów. Jeżeli chodzi o opady pyłów, polska norma dopuszcza 255 ton na kilometr kwadratowy w ciągu roku. Nie jest to mało, ale przecież nie powoduje szkodliwych zmian ani w organizmach ludzi, ani w życiu biologicznym przyrody. Wprawdzie były sporadyczne wypadki, że tuż koło elektrociepłowni notowano opad w wysokości (po przeliczeniu na okres roku) 350 ton, ale przeciętna dla terenu całej fabryki wynosi 80 ton. W samym mieście jest nieco więcej, jednak maksimum tego, co zarejestrowano, wynosiło 105 ton — a więc tylko 41 proc. dopuszczalnej normy.

Ostry, drażniący zapach dwutlenku siarki docierał nawet do Kazimierza. Częściej można go jednak wyczuć w rejonie Kurowa czy Żyrzyna, a nieraz i znacznie dalej. Ale w samych Puławach jest go znacznie mniej niż przed wybudowaniem fabryki. Po prostu dlatego, że gdy po jej wybudowaniu do miasta doprowadzono gaz ziemny i ciepłą wodę, zlikwidowano kilkanaście kotłowni i kilkaset pieców kuchennych, które właśnie produkowały wcale pokaźne ilości dwutlenku siarki.

Prawdziwie groźnym i właściwie jednym wrogiem puławskiego środowiska są związki azotowe. Było ich coraz więcej równolegle ze wzrastającą produkcją. Najpierw zaczął marnieć las w bezpośrednim sąsiedztwie Zakładów Azotowych, potem coraz dalej na wschód, dokąd niosły te związki najczęściej właśnie w tym kierunku wiejące wiatry. Na terenie samych zakładów stężenie niektórych związków było do 40 razy większe niż się to spotyka normalnie w przyrodzie, chociaż w samych Puławach tylko dwa razy. Na niektórych roślinach i drzewach obserwowano bardzo dziwne objawy. Np. na sosnach szpilki dochodziły do 20 cm, co było widocznym znakiem wynaturzenia, które w szybkim tempie przekształciło się w śmierć wielu drzew.

Najpierw naukowcy, a potem także same Zakłady Azotowe włożyły i nadal wkładają dużo wysiłku w opanowanie szkodliwych wpływów związków azotowych, a przede wszystkim w zmniejszenie ich ulatniania się poza instalacje. Jest w tym zresztą także czysto ekonomiczny interes fabryki, która traci w ten sposób wcale pokaźne ilości półfabrykatów.

Do zwycięstwa jest jeszcze daleko, ba — nie wszystkie ujemne skutki działania związków azotowych zostały już ustalone, zwłaszcza gdy chodzi o te, które wystąpią jeszcze po dłuższym okresie. Ale faktem jest równocześnie, że mimo dalszego wzrostu produkcji nawozów azotowych ulatnianie się powstających przy tej produkcji związków w roku ubiegłym zmniejszyło się i — jak dotychczas przynajmniej — nie zwiększa się także w roku bieżącym.

Duże zasługi w ratowaniu środowiska w rejonie Puław notuje Instytut Uprawy i Gleboznawstwa. Na obszarze, z którego trzeba było usunąć wymarłe drzewa, zaczęła już powstawać prawdziwa pustynia, pierwszy tego rodzaju obszar na Lubelszczyźnie. Sprawę ułatwiały dwa fakty: piaszczysty grunt oraz większy niż normalnie ubytek wody z gleby wskutek większego parowania. A jednak po kilkuletnich doświadczeniach, nie zawsze zakończonych sukcesem, udało się na porębie uprawiać niektóre rośliny, jak kapustę pastewną czy kukurydzę. Okazało się nawet, że duża ilość azotu wpływa korzystnie na kukurydzę, której wysokość przekracza niekiedy 2 m. Ostatnio dość zachęcająco wygląda uprawa chmielu, chociaż na ostateczny efekt trzeba będzie jeszcze poczekać, gdyż w przypadku chmielu nie chodzi o wygląd rośliny, ale o jakość szyszek. Na jesieni co bardziej wytrawni piwosze będą mogli wydać sprawiedliwy osąd.

W takich mniej więcej warunkach dla Puław i ich okolic rozpoczęła się akcja OPIS. Nie chodziło o to, aby młodzież pomagała naukowcom w badaniach czy inżynierom i technikom w opanowaniu fabrycznych instalacji.

Akcja OPIS oparta była na pracy społecznej uczniów szkół średnich, nawet nie wszystkich, bo tylko członków ZMS, chociaż były przypadki, że przyłączali się do niej także uczniowie niezorganizowani. To ich wspólne działanie nie miało żadnej egzekutywy nawet wobec największych i najbardziej upartych zatruwaczy naszego środowiska. Biorąc pod uwagę jeszcze brak jakichkolwiek doświadczeń w tej dziedzinie, trudno się było spodziewać oszałamiających wyników. Prawdą jest także, że całą akcję, przynajmniej w naszym województwie, zorganizowano pospiesznie, a niekiedy nawet jakby z pewną niewiarą w efekty. Stąd też są powiaty — jak chociażby sam Lublin, który zresztą najbardziej takiej akcji potrzebuje — w których nie można poszczycić się większymi, konkretnymi rezultatami.

Chociaż w powiecie puławskim OPIS objął tylko cztery miejscowości — Puławy, Bochotnicę, Kazimierz i Nałęczów — to przecież kilkuset młodych ludzi poświęciło jej sporo czasu i wysiłku. Zetemesowskie patrole w Puławach spenetrowały przede wszystkim peryferie miasta, a więc te ulice i różne zakamarki, które najczęściej wymykają się zarówno kontroli władz jak i działaniu przedsiębiorstw miejskich, powołanych do dbania o czystość i porządek. Przygnębiające refleksje nasuwają raporty z rejonu pomiędzy miastem a Wisłą. Jest to teren wprost wymarzony na piękny, nasycony zielenią bulwar nadrzeczny. Ale Puławy nie od dziś odwróciły się od Wisły, lokalizując tam szereg zakładów przemysłowych, które nie dbają o porządek ani na własnych terenach, ani w najbliższym sąsiedztwie. Pełno tam śmieci, gruzu, złomu, zniszczonych opakowań itp. Twórcami tego wielkiego śmietnika są Puławskie Zakłady Przemysłu Terenowego, Stocznia, PKS i — smacznego konsumentom! — mleczarnia. Aż dziw bierze, że tego jakoś nie dojrzał dotychczas miejscowy Sanepid. Niemało śmieci i brudu znajduje się koło nowej przecież restauracji Pod Dębami, a także wokół Domu Dziecka, co świadczy źle nie tyle o dzieciach, ile o wychowawczyniach i sąsiadach Domu. W Nałęczowie ulicę Graniczną określono jako jeden wielki śmietnik, alarmująco brzmiał również raport o stawie w uzdrowisku, w którym nawet łabędzie mimo częstych zabiegów kosmetycznych nie mogą doprowadzić swego upierzenia do względnej białości. W Bochotnicy prawie zupełnie zniszczono już ładny dawniej skwer koło klubu Rolnika. W Kazimierzu — eh, lepiej nie powtarzać, bo choćby człowiek cały dzień płakał z żałości, to i tak nie rozcieńczy ścieku, na jaki zamienił się Grodarz...

„Drażniący zapach dwutlenku siarki docierał nawet do Kazimierza..."
Fot. Z. Zuga

Zetemesowska młodzież w widoczny sposób była przejęta swoim zadaniem: obok spostrzegawczości i rzetelności w pracy wykazała się także rzeczywistym zaangażowaniem, wierząc, że jej praca nie pójdzie na marne. Jeszcze w czasie przerwy w sesji słyszałem kilka razy powtarzane pytanie: no dobrze, napisaliśmy raporty, ale co dalej? Obecny na sali przedstawiciel władz miejskich stwierdził, że plon akcji OPIS był przedmiotem specjalnego posiedzenia Prezydium MRN i że w rezultacie wydano szereg poleceń oraz w kilku wypadkach zagrożono sankcjami. To dobrze — ale źle, że nie powiadomiono o tym wcześniej młodzieży, zaraz po owym posiedzeniu. Dodać warto, że na sesję poproszono także przedstawicieli tych zakładów przemysłowych i instytucji, o których opinia po przeglądzie miasta była najgorsza. Nie zjawił się jednak ani jeden. Już nie mówię o dyrektorach, ale żeby chociaż jakiś referent gospodarczy czy od bezpieczeństwa i higieny pracy... A znaleźli czas przedstawiciel powstającego dopiero Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza czy zakochany w mieście nauczyciel-plastyk z Nałęczowa.

Młodzież nie tylko dała władzom bogaty materiał, nie tylko w czynie społecznym sadziła drzewa i krzewy, jak we Włostowicach czy koło Zakładów Azotowych, ale i w czasie samej sesji wniosła szereg cennych uwag i propozycji. Warto tym wystąpieniom, zaczepliwym a pełnym wiary w wypowiadane opinie, poświęcić słów kilka. Oto owe opinie:

Akcję OPIS warto rozszerzyć także na szkoły podstawowe, nie tylko dlatego, aby wszyscy szukali, co jest źle, ale by w codziennym życiu zauważali braki i złe obyczaje, swoje i innych; czy nasze raporty zostaną rzeczywiście wykorzystane przez władze; główne działanie powinno polegać nie na wyszukiwaniu braków, ale na szeroko pojętej profilaktyce; akcja nie była dobrze zorganizowana, nasz sztab szkolny był bardzo słabo poinformowany przez sztab przy Zarządzie Powiatowym ZMS; w Kazimierzu przedsiębiorstwo układające kanalizację zniszczyło założony czynem społecznym przez młodzież trawnik koło bulwaru, robotnicy wycinali gałęzie drzew na ognisko, bo im nie przywieziono drewna; akcja powinna być kontynuowana na jesieni, a także w przyszłym roku; my z liceum ogólnokształcącego postanowiliśmy po pewnym czasie jeszcze raz przejrzeć teren, aby stwierdzić, czy i co się poprawiło; mam lat siedemnaście, a już dwanaście lat słyszę o konieczności uporządkowania szaletu, który znajduje się koło Prezydium MRN w Kazimierzu; w szkołach podstawowych i średnich musi znaleźć się czas, aby na lekcjach przyrody wprowadzić problematykę ochrony środowiska; w czasie wakacji musimy pilnować i siebie i rodziców...

Myślę, że to wystarczy zamiast zakończenia artykułu. I teraz my, starsi, powinniśmy dbać o to, aby te propozycje nie poszły w zapomnienie, aby nie zmarnować zapału młodzieży, która pokazała, że może być potężnym sojusznikiem w walce o ochronę środowiska.

Borowski poeta znany i nie znany

Tadeusz Polanowski

RZADKI to przypadek, aby dwa następujące po sobie lata stanowiły dwie pełne rocznice związane z biografią danego pisarza. A tak się zdarzyło z Tadeuszem Borowskim. W ubiegłym roku (3 lipca) minęło 20 lat od śmierci poety, w obecnym zaś roku będzie można (12 listopada) obchodzić 50 rocznicę urodzin Borowskiego. Taki, niecodzienny przecie, zbieg okoliczności pozwolił w spiętrzeniu pozycji wydawniczych zwrócić uwagę na Borowskiego i jego puściznę literacką.

I tak, w r. 1971 otrzymaliśmy dwie książkowe publikacje: pierwszą były „Poezje wybrane" T. Borowskiego (wydane w LSW, w rozsyłanej drogą prenumeraty popularnej, ale wąsko adresowanej, serii „Biblioteka Poetów"), drugą — „czytelnikowska" książka A. Wernera o Borowskim i jego wizji świata obozów, a nosząca tytuł: „Zwyczajna Apokalipsa".

Na początku br. otrzymaliśmy „Poezje" T. Borowskiego. Ten obszerny wybór wierszy przyjąć trzeba z dużym entuzjazmem i satysfakcją. A to co najmniej z dwóch powodów: po pierwsze jest on zapewne najstaranniejszym z dotychczasowych wydań (o pewnych mankamentach powiemy później) — wnosi aż 36 nowych, nie uwzględnionych wcześniej tekstów poetyckich; po drugie, jest jeszcze jednym z ciągle nielicznych wznowień poezji Borowskiego.

Tadeusz Borowski nie miał bowiem szczęścia do częstych publikacji. Debiutując w pierwszych latach wojny konspiracyjnym tomikiem „Gdziekolwiek ziemia. Cykl poetycki" (maszynopis powielony w 165 egz., W-wa 1942), doczekał się — wydanego przez przyjaciół, nakładem czasopisma „Droga" — „Arkusza poetyckiego nr 2" (W-wa 1944, autor znajdował się wtedy w Oświęcimiu). Później, chociaż nadal stosunkowo dużo tworzył, to przebywając w dwóch innych obozach koncentracyjnych (Dautmergen i Dachau-Allach oraz amerykańskim obozie dla dipisów we Freimannie) zagubił wiele utworów i mimo usiłowań nie wydał po wojnie pełnego zbioru wierszy. Ogłosił natomiast w r. 1945 dwa dalsze tomiki: pierwszy zatytułowany „Imiona nurtu" z przedmową W. Mackiewicza wyszedł w Monachium drugi był broszurą „Poszukiwania. Tacing" zawierającą wiersze T. Borowskiego i K. Olszewskiego.

Na tym zamyka się lista wydań liryków za życia poety. Borowski — wobec niespodziewanego rozgłosu, jaki przynoszą mu już pierwsze, napisane jeszcze w Monachium opowiadania obozowe — jakby przestał się interesować poezją. Powojenne plany pełnego wydania wierszy spełzają autorowi na niczym. I dopiero w trzy lata po śmierci pisarza w pierwszym tomie „Utworów zebranych" (W-wa 1954) ukazuje się znaczna ich część. O pełności trudno tu mówić, wiele wierszy Borowskiego zaginęło bezpowrotnie, a do dużej części wydawca, W. Woroszylski, po prostu nie dotarł i uważał je za zaginione. Na szczęście okazało się, że dużo z nich można jeszcze odnaleźć.

„Czytelnikowski" skromny wybór liryków Borowskiego z r. 1968 (kieszonkowa mutacja serii „Biblioteki Poetów") zamieścił sporo wierszy pominiętych w „Utworach zebranych" — m. in. z tomików „Arkusz poetycki nr 2" i „Imiona nurtu", a do tej liczby dorzucił cztery wiersze wydrukowane w czasopismach. Obecny zaś wybór wierszy Borowskiego „Poezje" w stosunku do obydwu wcześniejszych wydań przedrukowuje aż 36 nowych, nie zamieszczonych tam utworów. Jest to sprawa dużej wagi, wpłynąć bowiem może na zmianę naszych wyobrażeń o poezji Borowskiego. I choć tomik „Poezje" wydany jest w popularnej serii, to chyba zbyt daleko posuniętym ograniczeniem naukowego komentarza zgrzeszył wydawca, T. Drewnowski, skąpiąc w „Nocie wydawniczej" informacji o tytułach owych, wydobytych na światło dzienne, wierszy.

A są to utwory nieraz dużej wagi i nie tylko poszerzają znane nam kręgi tematyczne poezji autora „Czasów pogardy", ale je zmieniają i na nowo kształtują. I tak do znanej grupy wierszy osobisto-erotycznych Borowskiego (chociażby z tomiku „Arkusz poetycki nr 2") dorzucić teraz możemy liryki zaczynające się od słów: „A jednak wiem — gdy zechcesz odejść", „Te noce są okropne" czy wreszcie erotyk — „Wiem: z nagła się otworzy krąg".

Wiem: z nagła się otworzy krąg
miłości naszej. Nieostrożny
mej ręki ruch odpłoszy ciebie —
wtedy odejdziesz. Każda rzecz,
której dotknęłaś, nawet powiew
powietrza idącego od drzwi
lekko przez ciebie otwieranych —
ciebie mi będą przypominać,
jak gdyby struną były, którą
przechodząc mimo potrąciłaś...
A jakim dźwiękiem będę drżał
ja, który miałem cię w ramionach?
(s. 45)

Oczywiście, trudno tu wymieniać, a tym bardziej cytować, wszystkie, wprowadzone po raz pierwszy do wyboru wiersze Borowskiego. Spośród utworów więzienno-obozowych nie sposób nie wspomnieć o wierszach: „Do towarzysza więźnia", „Drutami okolony skrawek świata", „Spacer obozowy", „Świta", a także wskazać kilka reminiscencji poetyckich o tamtych czasach, jak „Imiona kobiet", „Po wojnie", a wreszcie — romantycznych trawestacji w: „Wielkiej improwizacji" i w liryku „Gruba Gagemnona".

Mniej natomiast znane są liryki autotematyczne — swoiste manifesty poetyckie Borowskiego, a trzeba powiedzieć, że wśród nich znajdują się głęboko współczesne i bliskie nam propozycje zachowań i postaw poety. Dominuje tam romantyczna koncepcja poezji głęboko uwikłanej w rzeczywistość, poezji autentycznej, prostej i prawdomównej, dalekiej od zakłamania i estetycznej blagi. Za przykład może w tym względzie posłużyć wiersz programowy „Odezwa", a może, z takim samym powodzeniem, liryk zaczynający się od słów: „I jest poezja strzelista jak limba", w którym jedna ze zwrotek brzmi

Jest poezja jak ręce szulera,
tak wymyta i taka niewinna,
jest zwodnicza jak oczy dziewczęce,
ale moja poezja jest — inna.

Wydawca „Poezji", Drewnowski, uznał właśnie programowe wiersze Borowskiego za najbardziej chyba godne czytelniczej uwagi. Umieścił je bowiem w kompozycyjnej ramie tomiku, na początku i na końcu wyboru. Zaakcentował przez to ich wagę, a przydał do tych liryków mało znane fragmenty wierszowej wypowiedzi „O poezji i poecie". W utworze tym nieprzypadkowo pojawia się nazwisko Norwida i cytat z „Lauru dojrzałego":

A co w życiu było skrzydłami
Nieraz w dziejach jest ledwo piętą!...

Liryczny traktat Borowskiego „O poezji i poecie" nawiązuje do rozważań Norwida (że przywołać tu możemy chociażby dyskursywne nastawienie Norwidowskiej „Rzeczy o wolności słowa"); rzuca, tym samym, nowe światło na poezję Borowskiego, która — podobnie jak Norwidowska — staje się w czasach dziejowego kataklizmu II wojny światowej osobistym pamiętnikiem poety. (Zwraca na to uwagę Drewnowski we wstępie do „Poezji"). A jest to pamiętnik, podobnie jak Norwida „ogryzmolony i w siebie pochylon — Obłędny!... ale wielce rzeczywisty!", nie wahający się powiedzieć światu „Nie" i na tej ciągłej, ale twórczej negacji — opierający istotę poezji. Oto pierwsze wersety tego traktatu:

Gdy poeta powie światu „tak", to
ktoś jest winny: poeta albo świat.
Bo tym jest poezja: jeżeli lotem —
[illegible] wiatr,
jeśli żeglugą — to po[illegible] jeżeli
marszem — [illegible] nór.
(„O poezji i poecie")

1 dinar czyli...

Dokończenie ze str. 1

Duro Radulovica, radcy Ministerstwa Informacji, mówiąc, że zjawił się już drugi dziennikarz z Polski — „towarzysz Jaworski z Lublina". Tu małe wyjaśnienie. Jestem gościem jugosłowiańskiego Ministerstwa Informacji. Trzyosobowa grupa — Ewa Ulikowska z „Polityki", Wojciech Giełżyński z „Panoramy" i ja — sprawiła zapewne gospodarzom nieco kłopotu: każdy przybył indywidualnie. Nikogo to jednak tutaj specjalnie nie dziwiło. Widocznie do tej cechy charakteru są tutaj przyzwyczajeni. Jak się później okazało, na podstawie różnych obserwacji, nawet za bardzo...

Duro Radulovic, którego wkrótce poznałem, okazał się postawnym, przystojnym mężczyzną. Przyjął mnie w siedzibie Ministerstwa, które ma swoje locum w nowoczesnym gmachu wzniesionym w tzw. Nowym Belgradzie, gdzie jeszcze przed kilkoma laty ciągnęły się trzęsawiska.

Rozmowa jest krótka i rzeczowa. „Ulikowska jedzie do Macedonii. Tak chciała. Wy z Giełżyńskim, również zgodnie z życzeniami, macie trasę: Zabrzeb i Lubljana. Oto bilety na samolot do Zagrzebia i na samolot z Lubljany do Belgradu. Z Zagrzebia do Lubljany pojedziecie autokarem. Załatwią wam bilety na miejscu. Tutaj są pieniądze. Pokwitujcie. To na hotele i na utrzymanie. Program waszego pobytu w Zagrzebiu i Lubljanie, co chcecie zobaczyć, z kim chcecie rozmawiać, uzgodnicie na miejscu. W Belgradzie zarezerwowaliśmy dla was pokoje w hotelu „Slavija". A oto literatura. W jakim języku chcecie? Niemieckim? Proszę, może się wam przydać jako uzupełnienie własnych spostrzeżeń".

Radulovic mówi po serbsku. Rozumiem prawie wszystko, pewne fragmenty tłumaczy Czajer. Chcąc bliżej zaprezentować „Kamenę", wyjmuję z teczki te numery — zarówno białe, przedwojenne kruki, jak i egzemplarze powojenne — w których prezentowaliśmy literaturę narodów Jugosławii. Zwłaszcza numer z 1934 roku wzbudza wielkie zainteresowanie gospodarza:

— Musicie mi go koniecznie zostawić. Cenimy sobie, kiedy nasza poezja i proza znajduje odbiorców zagranicą...

Uścisk dłoni. Zapowiedź, że następnego dnia rano przyjedzie po nas samochód, który obwiezie nas po Belgradzie. Będzie nam towarzyszył młody człowiek, znający język polski. Skąd? Przez pewien czas przebywał w Warszawie, jego ojciec pracował w jugosłowiańskiej ambasadzie.

„Hotel „Slavija" mieści się w centrum miasta. Mam pokój na czwartym piętrze wieżowca. Z portierni biorę barwny prospekt-reklamówkę hotelu. Czytam, tłumaczenie chyba zbyteczne: „Hotel „Slavija" se nalazi u centru grada na najvažnijem gradskom trgu i razpolaže sa 332 sobe, od čega 4 apartmana, 172 jednokrevetne i 156 dvokkrevetnih soba..."

Osobna karta informuje w języku niemieckim o cenach: pokój pojedyńczy 6,3 dolara, podwójny — 9 dolarów, apartament — 15,2 dolara. Oficjalny kurs dolara — 17 dinarów.

Kręci mi się trochę w głowie od tych dolarów (wiadomo, człowiek zaraz przelicza po obłędnym czarnym kursie), ale inny cennik, również wzięty z recepcji, unaocznia, że hotel „Slavija" należy do... najtańszych na świecie. Oto za pojedyńczy pokój w hotelu „Bonn" w stolicy NRF trzeba zapłacić 69 zachodnich marek za dobę, w „Le Grand Hotel" w Paryżu — 127 franków, w „Imperial Hotel" w Tokio — 26,4 dolara, itd., itd. Kto chce, niech liczy: kurs według uznania.

Dzień mam wolny. Żadnych oficjałków. Jest czas na obejrzenie miasta, na pierwsze spostrzeżenia, niejako turystyczne.

Wzmaga się upał. W trzeciorzędnej restauracji zamawiam butelkę „coca-coli". Płacę 4 dinary. Jeśli dobrze pamiętam, to przed trzema laty za taką samą butelkę płaciłem w Macedonii 2 dinary. (Po kilku godzinach kupiłem taką samą „coca-colę" w sklepie spożywczym. Zapłaciłem bodaj 1,6 dinara. Marże restauracyjne są więc bardzo wysokie). Ów przykład wymownie ilustruje to, o czym niejednokrotnie pisaliśmy w naszej prasie: zjawisku inflacji w Jugosławii.

Obraz rozszerza się, gdy oglądam wystawy. Cóż — nie ma co ukrywać: wybór materiałów tekstylnych i obuwia imponujący. Żadnych kolejek. Wchodzisz do sklepu, a tu zza lady wybiega sprzedawca i gestykulując zachwala towar. W niektórych oknach tabliczki, informujące, że za dewizy udziela się 10 procentowego rabatu. Ale znów konfrontuję dzisiejsze ceny z tymi, które znam sprzed 2 lat. Skoczyły w górę od 50 do 100 procent.

Kupuję gazetę i próbuję dukać przy kawie. Zjawisko inflacji — temat dnia. W listopadzie ub. roku ceny zostały zamrożone, ale w praktyce bywa inaczej. Po kilkunastu dniach zresztą — o czym dowiedziałem się już po przyjeździe do Polski — rząd jugosłowiański powziął decyzję o podniesieniu cen mięsa średnio o 7 proc. Przewidziany na bieżący rok wzrost cen o 5,4 proc. został już przekroczony. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że w lipcu br. koszty utrzymania będą o 11 proc. większe w stosunku do grudnia ub. r. Na to niebezpieczeństwo wskazali członkowie prezydium Rady Związków Zawodowych Jugosławii.

Przeciętnego konsumenta interesuje to może mniej, ale gazeta, którą mam przed sobą, donosi właśnie o podwyższeniu opłat w transporcie kolejowym o 13 proc., wyrobów hutniczych — o 8,7 proc.

Zjadam obiad z winem (jakże tu inaczej!), płacę 34 dinary i usiłuję dociec, jaka jest realna wartość dinara już nie w porównaniu do dolara, ale do złotówki.

Materiały tekstylne, koszule, ubrania: 1 dinar = 3—4 złotych (z wyjątkiem koszul frotte, które tu są szczególnie drogie).
Jedzenie w restauracji: 1 dinar = 1,5—2 złote.
Alkohol: 1 dinar = 6—10 złotych (piwo 1 dinar = 1 złoty).
Taksówki: 1 dinar = 1 złoty.
Książki: 1 dinar = 50 gr — 1,5 złotego.
Buty: 1 dinar = 1,5—2,5 złotego.
Mieszkanie: 1 dinar = 50 gr — 1 złoty.

Czytelnik, oczywiście, zaraz zada pytanie: a jak kształtują się przeciętne zarobki? Trudno mi na nie odpowiedzieć. Jedno jest pewne: płace są bardziej zróżnicowane niż u nas i kontrasty są znacznie wyższe. Np. zastępca redaktora naczelnego jednego z tygodników powiedział mi, że ma 3,5 tys. dinarów miesięcznie, kierowca — 1,5 tys. dinarów, ekspedientka w sklepie — 900 dinarów, robotnik na budowie — 1200 dinarów.

Ale... Znów obraz byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o olbrzymich różnicach, jakie istnieją między poszczególnymi republikami. Poziom życia w Słowenii, a częściowo w Chorwacji, zbliżony jest do poziomu życia państw zachodnich, wysoko uprzemysłowionych. Ale gdy człowiek pojedzie do Macedonii, na południe Jugosławii, widzi, jak wiele tu jeszcze trzeba dokonać, aby wydźwignąć tę republikę, zlikwidować bezrobocie. Z drugiej strony nie jest dla nikogo tajemnicą, że wielu obywateli jugosłowiańskich, z braku pracy na miejscu, szuka jej w NRF, we Włoszech, Francji, a nawet na drugiej półkuli. Na niedawnym posiedzeniu Prezydium Związkowej Konferencji Socjalistycznego Związku Ludu Pracującego Jugosławii oficjalnie stwierdzono, że obecnie pracuje za granicą blisko milion Jugosłowian. Tak, to prawda, że w ub. roku przekazali oni Jugosławii 650 milionów dolarów, a więc więcej (!) niż wyniosły wpływy z turystyki. Ale... Dziennik „Jutarne Novosti" zwrócił uwagę, że wykształcenie jednego człowieka do produkcji kosztuje ok. 10 tys. dinarów. Bywa, że młody człowiek za darmo, a właściwie za społeczne pieniądze kończy w Jugosławii wyższe studia, a potem podejmuje pracę za granicą. Czy gra jest warta świeczki? Czy musi on swoją wiedzą służyć innym, pomnażać cudzy dorobek? Tak... Ale np. w tej stosunkowo wysoko uprzemysłowionej i bogatej Chorwacji oblicza się, że jeśli chciałoby się zapewnić pracę dla powracających z zagranicy, można by rocznie przygotować najwyżej 20 tysięcy stanowisk. A przecież rosną nowe kadry. Wytwarza się błędne koło.

Takie są fakty, których prasa jugosłowiańska bynajmniej nie tuszuje, z których władze doskonale zdają sobie sprawę. Dlatego z obfitości towarów na rynku nie można wyciągać zbyt pochopnych wniosków, chociaż wcale nie oznacza to, że od Jugosławii nie mamy się czego uczyć.

Pokazywano mi, już później, ośmiopiętrowy hotel, którego budowa i wyposażenie nie trwały nawet roku! Hotel, przeznaczony głównie dla zagranicznych turystów, zamortyzuje się w ciągu trzech-czterech lat. A w ogóle to, czego dokonano w zakresie inwestycji turystycznych, godne jest naśladownictwa. Nie mamy wprawdzie w Polsce całego kolorytu Adriatyku, ale zbyt mało wkładamy wysiłków, aby udostępnić zagranicznym turystom i czerpać dewizy z jezior mazurskich czy Bieszczad.

No, ale wchodzę już na rodzime podwórko, a tymczasem czytelnik pozostawił mnie albo ja czytelnika — na tym obiedzie z winem. Nie miałem nieba w ustach konsumując pstrąga na niebiesko, ale pljeskavica za 18 dinarów też smakowała mi wybornie. Cóż to takiego? Wieprzowina i cielęcina, cebula i pieprz, wszystko to skręcone i później pieczone na ruszcie.

Te pierwsze wrażenia z Jugosławii też zmieszałem. Ale to jest tak, jak mi powiedział pewien dziennikarz, nie Jugosłowianin: jesteś w tym kraju trzy dni, rozmawiasz z różnymi ludźmi, zdaje ci się, że już wiesz wszystko. Po dziesięciu dniach pobytu — masz zamęt w głowie, a po miesiącu zdaje ci się, że nie skleciszżadnego sensownego materiału.

Ja byłem w Jugosławii dni czternaście, może więc jeszcze zdołam to i owo napisać...

Marek Adam Jaworski

Belgrad. Nowe rozwiązania komunikacyjne. Fot. Archiwum

Adresat nie pokwitował

Dokończenie ze str. 1

mem widzów — w dziwnym skupieniu odczytują napis na obelisku, dotykają palcami chropawego muru.

Nie może być — mój porucznik! Poznałem go od razu mimo cywilnego ubrania. Lubimy się z porucznikiem serdecznie: prowadzone przez niego konferencje prasowe należą do najciekawszych; od czasu gdyśmy się dogadali przypadkiem, że wychowywaliśmy się w tym samym Domu Dziecka, potrafi sam zadzwonić do redakcji, jak wychodzi coś ciekawego.

Ale skąd się porucznik wziął naraz w Kołobrzegu?

Drugi mężczyzna siwy zupełnie, ubrany mimo upału w szary prochowiec — płacze. Porucznik mówi coś do niego uspokajająco. Potem, podtrzymując go — odprowadza w stronę miasta.

Poszedłem oczywiście za nimi, widziałem, jak żegnali się przed bramą domu i widziałem, jak porucznik wchodził później do kawiarni. W kilka minut potem, pewien, że na sali nie ma już wolnych miejsc, pytałem, czy można się do niego przysiąść.

— Góra, jak to mówią, z górą...

Dobrze to nawet wypadło — spotkać znajomego tak daleko od rodzinnego miasta. A jeszcze tak sympatycznego znajomego, to już w ogóle... Tylko męczące to „panie-redaktorze-porucznikowanie". W końcu, kto jak kto, ale my dwaj powinniśmy mówić sobie po imieniu, prawda? Zgoda? ...

— Tadeusz. — Władek.

— Tak... — mówię, kiedy tematy okazjonalne zostały już wyczerpane. Byłaby teraz właściwie kolej na „wspominki", ale na to żaden z nas nie ma ochoty. — A wiesz, ten twój znajomy mnie zaciekawił... Dziwny facet... No, na plaży was widziałem — wyjaśniam.

Porucznik sięga teraz po nowego papierosa. Wypuszcza powoli smugę dymu i przygląda się jej z zainteresowaniem.

— Tak — mówi. — To byłoby nawet coś dla ciebie... Ale to cała historia...

— Romantyczna historia? — próbuję go jakość podpuścić.

— Czy ja wiem? — zastanawia się. — Romantyczną jej chyba nazwać nie można. Ale powinna cię zainteresować. Tylko... — zastrzega się. — Sam rozumiesz, żadnych nazwisk... Może na miejscu, jak szef pozwoli...

Rozumiem porucznika doskonale. Zanotowałem sobie zresztą numer bloku i potrafię sam tamtego faceta odnaleźć, jakby było trzeba.

— Widzisz, droga tego człowieka do Polski trwała przeszło dwadzieścia lat... Dopiero przed miesiącem wrócił, a od dwudziestu paru lat ciągle jest w podróży... Ostatnio był w NRF, a przedtem jeszcze we Francji, w Belgii i Holandii. Ale to żadna typowa sprawa — że niby dopiero teraz uwierzył, iż go komuniści od razu nie rozstrzelają, albo na Syberię co najmniej nie wyślą, albo że „tak się jakoś złożyło", ale naprawdę to on „cały czas za ojczyzną tęsknił..." Widzisz, ten człowiek naprawdę od dwudziestu lat bez przerwy próbuje wrócić, bez przerwy wraca... Tylko wyobraź sobie...

Wyobrażam to sobie.

— Akcja była przygotowana precyzyjnie. Nasz człowiek — opowiada porucznik — był specem od takich maskarad znanym na cały Okręg. Trzy lata w konspiracji, studia politechniczne skończone przed wojną, a do tego doświadczenie z kampanii wrześniowej. Tym razem chodziło o przerzucenie kilku ludzi do Warszawy, a przy okazji — o czym nikt z tamtych nie wiedział — trochę broni i dokumentów, które ukryte były w wydrążonych od środka kafarach, ogromnych balach spiętych żelaznymi klamrami — w gestapo nie przypuszczali, że coś w tych kłodach można ukryć, porzucili je gdzieś w kącie i udało się je później odzyskać.

W akcji brały udział dwa wozy: w pierwszym jechała „obsługa", która miała ich eskortować do granicy Generalnej Guberni. Od granicy obstawa była już niepotrzebna: wszyscy mieli doskonałe papiery, przebrani byli za robotników budowlanych, pracowników niby warszawskiej firmy, autentycznej zresztą, wykonującej dla Niemców jakieś ważne roboty. Trochę to było uciążliwe — z tymi dokumentami wiarygodnymi dopiero od określonego miejsca, wpadka jednak była w zasadzie niemożliwa. Nikt nie przewidział pecha.

W drugim samochodzie zepsuły się światła, ot — mała awaria, którą kierowca usunął dosłownie po minucie. Ale ci z obstawy niczego nie spostrzegli i pojechali dalej. Trzeba trafu, że akurat wtedy natknęli się na żandarmów. Przyhamowali, zjechali nieco na bok szosy — nagle otworzyli ogień i wyprysnęli do przodu: i dwu motocyklistów, którzy próbowali ich gonić — zdmuchnęli zaraz na pierwszym kilometrze. Pech polegał na tym, że kiedy nadjechał samochód z ludźmi, Niemcy zdążyli się już pozbierać i zabarykadowali szosę. Wygarnęli wszystkich, sprawdzili dokumenty i przeprowadzili rewizję. Podejrzanego nic nie znaleźli, ale intuicyjnie wyczuwali, że coś tutaj nie w porządku, wściekli zresztą byli za kilku swoich rannych. Zabrali wszystkich na posterunek, stamtąd — po sprawdzeniu, że firma, której rzekomo byli pracownikami, istnieje rzeczywiście, i że grupa robotników istotnie została niedawno w te okolice wysłana, po kilku godzinach przesłuchania, porykiwań i poszturchiwania kolbami — robotników puścili wolno. Zatrzymali tylko kierownika grupy, następnego dnia przewieźli go do gestapo w powiatowym mieście — i wtedy wybuchła bomba! Przy skrupulatnej rewizji znaleźli u niego wszyte pod podszewką prawdziwe dokumenty i bodaj jakieś mikrofilmy ukryte w podeszwach. Można sobie wyobrazić, jaka ich wściekłość ogarnęła, gdy zdali sobie sprawę kogo wypuścili z rąk, z jaką pasją zabrali się do jednego człowieka, który im pozostał. Teraz nie mieli już wątpliwości, że należy łączyć oba samochody. Można sobie wyobrazić...

Nie mogę sobie wyobrazić.

Przesłuchania trwające bez przerwy po kilkanaście godzin, łamanie palców i wyrywanie paznokci. Wiązanie drutem kolczastym, przypalanie papierosem włosów na skórze, przypalanie prądem, miażdżenie genitalii w szufladzie, zmuszanie do bezsenności, karmienie słonymi rybami i odmawianie wody. Podkute buciory w czaszkę, w twarz, w gardło.

— Przewieziono go do Warszawy, na Aleje Szucha — opowiada porucznik. — Nasz człowiek bardzo długo znosił tortury, w końcu się jednak załamał, trudno się dziwić. Przyznał, że należy do organizacji, podał pseudonimy kilku swoich zwierzchników i kolegów. Zaczął jednym słowem sypać i Niemcy byli przekonani, że powie wszystko, najtrudniejszy jest przecież zawsze początek, najtrudniej człowieka raz złamać. Zaczęli notować, ale wtedy nasz człowiek, któremu chwila wytchnienia pozwoliła ochłonąć — dalszych zeznań odmówił. Skamlał, że sam to wszystko wymyślił, że nic nie jest prawdą z tego, co powiedział przed chwilą. Zażądali żeby podpisał dotychczasowe zeznania — odmówił. Zaczęli go bić — ale, na szczęście, stracił przytomność. Tortury przestały już na niego działać, nie czuł bólu, właściwie ciągle był nieprzytomny. Codziennie wieczorem wrzucano do celi skrwawiony, bredzący nieprzytomnie tłumok kości. Bał się tylko, czy nie zdradził przypadkiem czegoś w malignie, pytał niespokojnie współwięźniów — ale nie: jęczał tylko.

Niemcy chcieli go potem wykorzystać przy konfrontacjach z podejrzanymi, obiecywali zaprzestać tortur — nie zgodził

Dokończenie ze str. 1

Lecz chwila taka nie nadeszła, gdyż niewierny mąż poróżnił się z kochanką i wrócił — jak to się mówi — na łono rodziny. Danuta K. zaś wyznała mężowi, iż były kochanek wtedy nad rzeką groził jej strzelbą, chcąc wymóc zgodę na wspólny wyjazd obojga w nieznane, czyli na zachód od Polski. Wówczas Eugeniusz S. pisze list do Zygmunta K.: „Być pewny, że nie chcę, żebyś bił żonę, albo kłócił się, tylko baba powinna milczeć... Ona mówiła, że gdy zobaczysz mnie, to mnie zabijesz, to znaczy zastrzelisz. Wcale się ciebie nie boję... Proszę oddać mi 600 zł i wziąć sobie strzelbę, mnie jest niepotrzebna. Bo jeśli nie, to odwiozę ją na komendę do Kraśnika. Weź sobie, bo twoja, ją zrobiłeś, mnie jest niepotrzebna i proszę się odczepić od nas. Żyję dla dzieci i żony, a nie dla byle kogo. Twoja myślała, że zaraz pójdę za nią. Chyba bym miał taki rozum, jak ona jest. Niech się ode mnie odp..., cham. Proszę powiedzieć żonie kochającej, niech odda mi 1000 zł, które pożyczyła... Ona buntowała mnie, żebym cię skarżył, że masz pistolety i strzelbę. Jeszcze gdy pojechałeś kosić do Borowa, to byłem u niej i mówiła mi, żebym zrobił coś z tobą, żebyś poszedł do więzienia, wtenczas będziemy wolni. Ja powiedziałem, że tego koledze nie zrobię... To ona nadstawiła się, że czepiam się jej, żeby pojechała ze mną na zachód..."

Skończyła się miłość, a zaczął się gniew. Cicha miłość i głośny gniew. I sprawa poszła w wioskę. Oczywiście milicję o wiele więcej niż perypetie miłosne zainteresowała strzelba. I tak oto dla Komendy Powiatowej MO w Kraśniku, która ma pierwszorzędne wyniki w dziedzinie tak zwanego rozbrojenia terenu, rozpoczęła się latem 1970 roku paromiesięczna epopeja operacyjno-śledcza w związku z kolejną sprawą nielegalnego posiadania, wyrabiania i handlu bronią oraz kłusownictwa w powiecie.

To była jedna z większych spraw. Odpowiadało przed sądem i zostało ukaranych 14 osób. Interesy, które łączyły Zygmunta K. i Eugeniusza S., polegały na tym, że pierwszy produkował lub remontował broń palną, a drugi był pośrednikiem transakcji, naganiaczem klientów. Obaj też kłusowali. Odzyskano łącznie 17 sztuk wyprodukowanej bądź wyremontowanej przez Zygmunta K. broni palnej (myśliwskiej lub wojskowej). Lufę potrafił wykonać ze sztycy samochodu „Star", zamek dopasował ze zdezelowanej rakietnicy, temu dorobił łoże do starej strzelby, innemu iglicę i przyrząd spustowy... Znał się na tym. Był przyuczonym do zawodu tokarzem. A kiedyś służył jako posterunkowy w milicji, skąd został wydalony za nielegalne posiadanie broni myśliwskiej, następnie zaś ukarany przez sąd. Tym razem dostał 4 lata więzienia oraz 6000 zł grzywny.

Ze względu więc na osobę Zygmunta K. była to także sprawa szczególna, jak również ze względu na „produkcyjno-handlowe" rozmiary przedsięwzięcia. Samoroby bowiem, wytwarzane zazwyczaj w kuźniach wiejskich, stanowią tylko około 20 procent nielegalnie posiadanej broni, reszta to broń wojskowa, pozostała z II wojny, lub broń myśliwska produkcji fabrycznej, kradziona na myśliwym albo dziedziczona przez kłusowników z pokolenia na pokolenie. Rozbrajanie terenu i walka z kłusownictwem ujawnia na Lubelszczyźnie rocznie 300—400 sztuk nielegalnie posiadanej broni (w tym blisko 100 sztuk myśliwskiej).

Kłusownicy

Oczywiście, kłusownictwo to przede wszystkim kwestia wnyków i sideł, a także... wałęsających się psów i kotów, szczególnie niebezpiecznych w okresie lęgowym ptactwa i zwierzyny. Również nie każdy przypadek nielegalnego posiadania broni wiąże się z kłusownictwem, aczkolwiek zazwyczaj związek ten istnieje, nawet jeśli idzie o broń wojskową, która używana bywa do polowań na zwierzynę grubą (głównie dziki), jako że strzelba śrutowa niewiele tutaj poradzi.

Tak czy owak broń w rękach ludzi nieodpowiedzialnych, często broń niesprawna, rodzi niebezpieczeństwo nie tylko dla zwierzyny. Istnieją rozmaite powiedzonka: „karabin raz do roku sam strzela", „gdzie są strzelby, tam są straty"... Coś w tym jest, a przypadki postrzelenia ludzi, choć rzadkie, zdarzają się jednak. Przykłady z kraśnickiego. Aleksander P. z Blinowa, manipulując przy strzelbie produkcji kowalskiej, postrzelił się w rękę (rozerwało komorę nabojową, zrobioną ze zbyt cienkiej blachy). Czterech kłusowników z Zadworza wyrywało sobie strzelbę podczas polowania, jeden został ciężko postrzelony. Kłusownik z Kruczyny został raniony przez szwagra, gajowego, z którym polował, a który myślał, że to... sarna. Irena O. z Kraśnika dokonała zabójstwa swego męża z broni, którą on nielegalnie posiadał. Zabiła go podczas snu, strzelając pociskiem na dziki. Powód — zazdrość i nieporozumienia małżeńskie.

Szczególny przykład z powiatu bełzyckiego. Tego człowieka nazywali w Zalesiu „szeryfem" albo „Kiessem". Chodził po wsi z bagnetem i siekierką, groził podpaleniem wioski, kradł kury i drzewo z lasu, studnię sąsiadów skaził azotekiem. Alkoholik, „odżywiający się" denaturatem, osobnik na pograniczu normy i debilizmu. Nieufny, kłamliwy, infantylny i mściwy. Ludzie się go bali. Miał strzelbę, którą skonstruował do spółki z własnym bratem. Nocami strzelał we własnym mieszkaniu. Tej strzelby zamierzał użyć przeciwko będącemu na służbie funkcjonariuszowi MO, chcącemu go doprowadzić na komendę w związku z podejrzeniem o włamanie do sklepu GS. „Masz szczęście, że jestem pijany i nie założyłem naboju do lufy, bo już byś ziemię gryzł" — powiedział. Wyrok — trzy lata więzienia. W śledztwie twierdził, że... żartował. Kłusownictwa nie stwierdzono.

Zazwyczaj jednak ludzie posiadający nielegalnie broń, w ogromnej większości rolnicy, trudnią się kłusownictwem, świadomie i uparcie, nie wchodząc poza tym w konflikt z prawem. Czasem całe wsie zamieszane są w kłusownictwo, jak choćby w kraśnickim: Blinów (odebrano 11 sztuk broni), Lipa (9 sztuk), Błażek (6 sztuk)... 73-letni Stanisław W. z Leszczyny był już w 1969 roku ujęty na kłusownictwie, odebrano mu wówczas dubeltówkę, a w zabudowaniach odnaleziono 170 sztuk amunicji. Już w następnym roku podczas przeszukania odnaleziono u niego strzelbę śrutową (kaliber „16"), dwa karabinki małokalibrowe i przeszło 800 sztuk różnej amunicji. W środku podwórza leżał kamień, a pod nim elegancko ocementowana skrytka na broń. „No, zuchy jesteście, żeście znaleźli" — powiedział funkcjonariuszom MO. Karę 3 lat pozbawienia wolności sąd zawiesił ze względu na podeszły wiek sprawcy.

Milicja odbiera broń wielokrotnie jednemu kłusownikowi, prowadzi z nim rozmowy, sypią się wyroki skazujące. Lecz nie zawsze wszystko to skutkuje. „Proszę pana, jak się z kłusownikiem rozmawia, to on przeważnie patrzy w sufit i udaje, że nic nie wie" — powiedziano mi w Komendzie Powiatowej MO w Kraśniku. Faktycznie, kłusownicy nie są zbyt rozmowni, wszyscy powtarzają zadziwiająco podobną i monotonną legendę, a już z dziennikarzem to w ogóle nie chcą gadać. Złapano czterech ze wsi Błażek (kraśnickie) niemal na gorącym uczynku. Co zeznali? Jeden strzelbę znalazł w zeszłym roku na dachu swojej stodoły, łuski znalazł w lesie, spłonki otrzymał od byłego myśliwego, proch znalazł w swoim wozie na podołku, mogli go zostawić nieznani osobnicy, których kiedyś podwoził, śrut zrobił sam z ołowiu. Drugi strzelbę znalazł na dachu obory, została chyba po zmarłym ojcu, nabój miał tylko jeden, nie pamięta skąd. I tak dalej. Żaden nie kłusował i nie strzelał, albo tylko ten raz, kiedy go akurat przyłapano. Broń miał przekazać milicji, ale się bał. Tymczasem ekspertyza wykazuje, że strzelby są często używane, od osmalin prochowych w lufie aż czarno. Wiadomo też, że istnieją przecieki amunicji od myśliwych z kół łowieckich, co zresztą stanowi osobny problem, jako iż z etyką łowiecką czasem jeszcze jesteśmy na bakier (o wspólnych polowaniach myśliwych z kłusownikami czy o kłusownictwie samych myśliwych wstyd już nawet wspominać, boć wypadki to raczej sporadyczne).

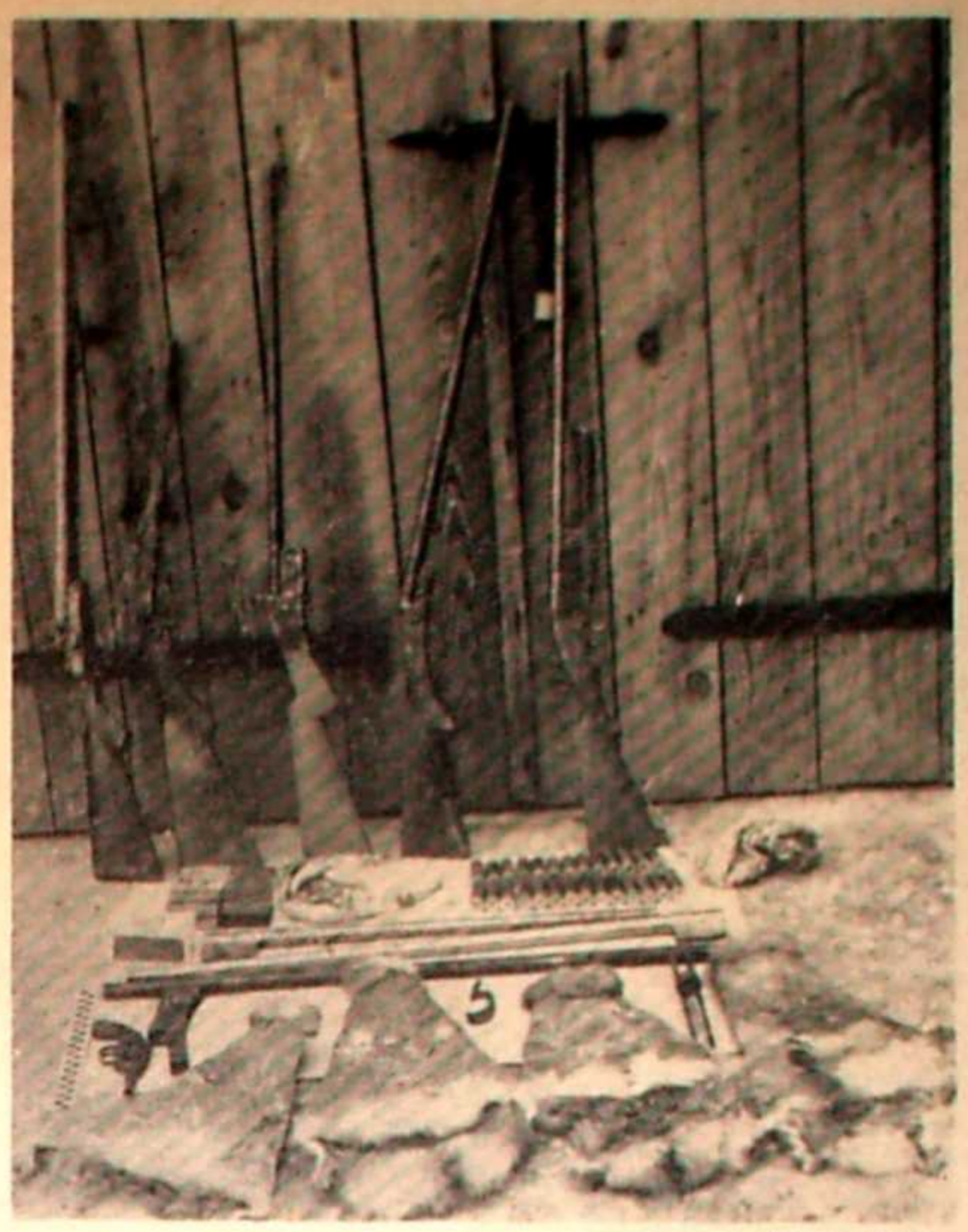

Fot. J. Kawa

O kłusownictwie powiada się, że motywowane jest chęcią zysku. Być może. Legalne myśliwstwo jest nadal zajęciem czy też sportem drogim, a więc elitarnym, na co jakoś nie widać rady. „Jeśli myśliwy nie dokłada do swego zajęcia, a wychodzi rocznie na zero, to już jest bardzo dobrze" — powiedziano mi w Polskim Związku Łowieckim w Lublinie. Kłusownicy potrafią produkować wyroby z ubitej zwierzyny, czasem nawet handlują nimi, ponosząc przy tym minimalne koszta. Więc chęć zysku.

Wydaje się jednak, że przy kłusownictwie z bronią palną działają też inne motywy, i nie ten rodzaj kłusownictwa przynosi gospodarce narodowej największe straty, ale wnykarstwo. Ci przebiegli i twardzi ludzie, często świetni strzelcy, uprawiają swój proceder nałogowo. Właśnie. „To nałóg, kłusownika i dewizowca tylko ziemia leczy" — powiadają ludzie kompetentni.

W związku z ubocznymi niebezpieczeństwami nielegalnego posiadania broni sprawa ta nie jest u nas bagatelizowana, szczególnie po 1957 roku, kiedy do walki z kłusownictwem szerzej włączył się Polski Związek Łowiecki. „Przed wojną takiemu zabrano flintę, prześledział 14 dni w kozie gminnej, dokąd mu żona przyniosła jeść, w dzień rąbał drzewo komendantowi, na noc szedł do domu spać" — taką opinię usłyszałem. Dzisiaj kłusownik odpowiada z tytułu ustawy łowieckiej (do 5 lat pozbawienia wolności oraz wysokie grzywny) oraz z art. 286 kodeksu karnego: „Kto bez wymaganego zezwolenia posiada lub wyrabia broń palną lub amunicję podlega karze pozbawienia wolności do lat pięciu".

Wyroki „do odsiedzenia" otrzymują przede wszystkim producenci broni palnej oraz szczególnie niepoprawni kłusownicy. Innym zawiesza się karę pozbawienia wolności, ze względów profilaktycznych — na okres dość długi (3—5 lat), karze się grzywnami (do 10 tys. zł) oraz zobowiązuje sądownie do pracy społecznej. Niezależnie od tego można by się zastanowić, czy legalne myśliwstwo m u s i u nas być sportem elitarnym? Czy gdyby nie było sportem tańszym, nie zmalałaby liczba przypadków kłusowania z bronią w ręku? I co robić, żeby było sportem tańszym i mniej elitarnym? Ja nie wiem, ja się tylko pytam.

Maciej Podgórski

---

się, nie podpisał ani jednego świstka, jaki mu podsuwali. Żył ciągle — sami Niemcy byli tym zdumieni. Mieli w końcu dosyć tej sprawy, chcieli ją tylko formalnie zamknąć, znudził ich; żądali, aby podpisał zapisy własnych przesłuchań — nie podpisał. Po prostu nie mógł. Trudno sobie wyobrazić, że człowiek w ogóle może tyle przeżyć.

— Dostałem tę sprawę pół roku temu — opowiada dalej porucznik, kiedy kelnerka stawia przed nami dwa kieliszki wina i odchodzi od stolika — i dokładnie przestudiowałem archiwum dowódcy Okręgu, zachowało się prawie w całości. Są tam również raporty dotyczące tej historii i rozkaz — ostatni ślad po tym człowieku — odwołujący alarm i zakaz używania kontaktów, które on mógł znać. Dowiedzieli się, że wysłano go do obozu — i nie zdradził...

Ale historia tego faceta bynajmniej się na tym nie kończy, na dobrą sprawę dopiero się zaczyna. Nasz człowiek znalazł się teraz w obozie w Gross-Rosen, obozie, którego sama nazwa budziła wówczas grozę. Ponad połowę wszystkich jego więźniów Niemcy wymordowali. Ale nasz człowiek przeżył. Można nawet powiedzieć, że odżył, kołaczące w nim resztki życia rozbłysły teraz silniejszym blaskiem. Mimo że i tutaj był w specyficzny sposób „wyróżniany". Widzisz, wytworzył się w nim dziwny odruch: on nie mógł już podpisać żadnego dokumentu, napisać chociażby swego nazwiska. Pisywał normalnie długie listy, kiedy jednak miał złożyć swój podpis, ręka mu sztywniała, zimny pot występował na czoło, zaczynał drżeć na całym ciele i tracił przytomność. Początkowo wymigiwał się od kwitowania paczek czy jakiegoś sprzętu obozowego twierdząc, że po prostu nie umie ani czytać ani pisać. Później esesmani robili sobie z niego widowisko: oto typowy polski inżynier — do łez się zaśmiewali — nawet niepiśmienny!... Urządzali dla niego specjalny program „ćwiczeń gimnastycznych", wielogodzinne apele, „żabki", pełzanie dookoła obozu i co tylko zdołali wymyśleć.

Nasz człowiek przeżył jednak Gross-Rosen. Przeżył ewakuację. Któregoś dnia zrozumiał nagle, że jest wolny. Roześmiany, dobrze odżywiony amerykański żołnierz wciskał mu do ręki tabliczki czekolady i z rozmachem walił go z radości po plecach. Było teraz w bród chleba i opiumowanych papierosów.

Porucznik w skupieniu spogląda przez kieliszek na smugę światła wpadającą przez okno. Prosit! — lekko trącamy się szkłem.

— Tak... — porucznik smakuje jeszcze wino. Potem mówi:

— Właśnie wtedy, w połowie czterdziestego piątego roku, rozpoczyna się jego „droga do Polski". Jak ci to wytłumaczyć? Widzisz, medycyna ma na tę rzecz dziesiątki wyjaśnień — i wszystkie dają zaledwie mgliste pojęcie o jej charakterze. „Reakcja nerwicowa na przeżycia wojenne" — tak by to można określić. Faktem jest, że ten człowiek nie potrafi — po prostu nie potrafi, i już — podpisać żadnego dokumentu, w ogóle napisać swego nazwiska! Kiedy próbuje się go do tego zmusić, drżą mu coraz szybciej ręce i rzęsisty pot występuje na czoło. A wtedy cóż... To były czasy nieufności, jeszcze później potrwało to trochę, ty tego nie możesz pamiętać... Zrozumiałej nieufności. Żaden polski urząd repatriacyjny nie chciał nawet rozmawiać z takim dziwnym facetem, który nie tylko nie ma żadnych dokumentów, ale nie pobiera bonów żywnościowych ani nawet słusznie mu się należących pieniędzy — jeśli oczywiście prawdę mówi... Nasz człowiek tedy próbował się przedostać do Polski na własną rękę — zamknięto go oczywiście, na wszelki wypadek i przekazano władzom ploskim. Po sprawdzeniu znalazł się w identycznej sytuacji jak po zakończeniu wojny.

Żyć z czegoś jednak było trzeba — nasz człowiek zawędrował po kilku miesiącach najpierw do Francji, a potem do Holandii. Ludzie o jego specjalności cenieni wówczas byli na wagę złota — dopóki nie skończył się powojenny bałagan, nieźle mu się nawet wiodło. Ale równocześnie przygotował sam sobie pułapkę: przychwycony podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy, spędził pierwsze lata wolności w holenderskim więzieniu. Potem zamknęli go Belgowie — trzy razy z rzędu. W przeróżnych więzieniach Niemieckiej Republiki Federalnej także kilka lat upłynęło: ostatnia schwytała go służba graniczna NRD, gdy płynął wpław przez Odrę. Gdyby nie aresztowanie byłby się pewnie utopił.

I dopiero wtedy — było to mniej więcej przed rokiem — wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. Zainteresowała się jego sprawą polska ambasada, zajęli się nim solidnie, uwierzyli mu, co najważniejsze. Wrócił do kraju.

Słońce spełzło z naszego stolika. Nie pali już w oczy. Wpadający przez okno szeroki płat światła tworzy teraz na podłodze jarzący się drobinkami pyłu ostrosłup. Do kawiarni wchodzą dwie młode dziewczyny, rozglądają się chwilę, podchodzą do sąsiedniego stolika. Przedtem jeszcze muszą przejść przez tę świetlistą bryłę — dwie dziewczyny o brązowych ramionach, po biodra unurzane w słońcu.

— To wspaniałe — mówię w roztargnieniu. — To nieprawdopodobne — poprawiam się — co opowiadasz... Trudno sobie nawet wyobrazić, jak jeden człowiek mógł przeżyć to wszystko. Nie sposób byłoby wymyśleć podobną historię. Ale teraz już koniec kłopotów?...

Porucznik przypala papierosa i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek, spogląda na dziewczyny — zerkają na nas co chwila i szepczą coś, prawie dotykając się głowami. Uśmiechamy się leciutko, porozumiewawczo.

— Albo początek innych — odpowiada na moje pytanie po dłuższej przerwie. — Nowych... Widzisz — poważnieje — kiedy ten człowiek opowiadał nam w komendzie swoje życie, dosłownie płakał jak dziecko. A mnie coś w gardle gniotło, w życiu nie przeżyłem czegoś podobnego. Promieniował radością: urodził się w naszym mieście, w Urzędzie Stanu Cywilnego zachowała się jego metryka — mogliśmy wydać mu prawdziwy, najprawdziwszy dowód osobisty. Nareszcie był pełnoprawnym człowiekiem, z własnymi dokumentami — trzeba było widzieć, z jakim pietyzmem oglądał dowód. I trzeba było widzieć wyraz jego twarzy, kiedy jeden z kolegów powiedział: „tylko tu jeszcze musi nam pan podpisać..."

Przepis jest przepisem — zgodę szefa na podpisanie dowodu pismem kaligraficznym mogliśmy uzyskać dopiero następnego dnia. No cóż, żal mi było człowieka ale nic nie mogłem poradzić. Uspokajałem go, że na pewno żadnych trudności nie będzie, obiecałem osobiście się wszystkim zająć i najdalej jutro przesłać mu dowód na adres rodziny, u której zamierzał się kilka dni zatrzymać. Słowa dotrzymałem: wysłałem nazajutrz express polecony, żeby możliwie szybko dokument doszedł. A po tygodniu przesyłka wróciła z powrotem z adnotacją: „adresat odmówił pokwitowania odbioru..."

— Szkoda — mówię rozżalony. — Naprawdę szkoda, że chyba nie da się wykroić z tego reportażu. Temat nawet niby pozytywny, ale jakiś taki niezręczny... I jak to się wszystko skończyło?

— No cóż, teoretycznie rzecz biorąc, załatwiliśmy sprawę jak najbardziej pozytywnie. Wysłał mnie teraz szef w delegację, mam pilotować faceta przez kilka dni, załatwić za niego wszelkie możliwe formalności i ustawić odpowiednio, kogo tam tylko będzie trzeba. Jestem więc tutaj, wykłócam się w biurze meldunkowym, w kwaterunku i konferuję z jego dyrektorem. Fachowców jego specjalności ceni się na wagę złota, znalazła się więc od razu praca, mieszkanie, przyzwoita pensja... Mieliśmy dla niego kilka propozycji, ale wybrał Kołobrzeg...

— Płakał dzisiaj na plaży — przypominam.

— No bo widzisz — odpowiada porucznik — ten człowiek nigdy dotąd nie widział morza. Przez te kilka dni, jakie tu już jesteśmy, prawie nie rusza się z domu, siedzi osowiały całymi godzinami w jednym miejscu, zupełnie przybity... Dzisiaj go dopiero wyciągnąłem — i po raz pierwszy w życiu zobaczył morze.

— Tak, tak — potwierdzam. — Rozumiem. — Pierwszy raz w życiu zobaczyć morze... Wyobrażam sobie!

Władysław Huzik

Kamena str. 7

Goście mile widziani

Maria Bechczyc-Rudnicka

TAK absolutna staje się presja panująca dziś na rynku inscenizatorskim konwencji teatru otwartego, że nawet znani i uznani reżyserzy starej daty prezentując pozycję klasyczną poczuwają się do obowiązku legitymować ją „nowym odczytaniem". Toteż skoro dotarła do mnie wiadomość, iż zasłużony artysta Rumuńskiego Teatru Narodowego im. V. Alecsandri w Jassach, Dan Nasta, niechętny był dla „Trajkotek" Kiritescu, dopóki nie wziął ich na swój warsztat reżyserski — oczekiwałam, przyznaję się, inscenizacji mocno kontrowersyjnej w stosunku do zamierzeń autora, zwłaszcza formalnych. Można wszak było się spodziewać, że ze wszystkich otworów widowni wyłonią się na wstępie jakoweś groźne postacie, że frenetyczne ich dyskursy będzie raz po raz przerywał komentujący song, kto wie — może big-beat lub nieco akrobacji, że wreszcie przywdziawszy dziwaczne maski, poczną dramatis personae straszyć nas z wolnych poprzednio krzeseł, ustawionych w zagadkowym celu na proscenium, poniżej podestu, właściwego miejsca akcji...

Nic podobnego jednak się nie zdarzyło. Dobry smak Dana Nasty ustrzegł go przed szablonami tandetnej „nowoczesności", a w rezultacie sztuka „Trajkotki", jedna z dwóch pozycji zademonstrowanych Lublinowi w czerwcu przez teatr jasski, jako kolejny efekt przyjaznej wymiany świadczeń z naszym teatrem dramatycznym — odniosła na scenie im. J. Osterwy niewątpliwy sukces.

Nie rozumiejąc języka rumuńskiego, nie znając twórczości Aleksandra Kiritescu z autopsji, któż mógłby ocenić, w jakim stopniu trafne są spostrzeżenia reżysera, który znajduje w wystawionym przez siebie utworze podobieństwo z tzw. „sztukami nieprzyjemnymi" Bernarda Shawa? Niemniej samo bogactwo mimiki i gestów aktorów pozwala domyślić się wysokiej rangi dialogu będącego źródłem tego osiągnięcia.

Właśnie żywy dialog stanowi główny walor „Trajkotek". Bo i cóż się tutaj dzieje na scenie czy poza sceną? Jedyne ważkie wydarzenie, samobójstwo młodej kobiety, potraktowane jakoś zdawkowo, po prostu zaskakuje widza, pozostawiając go obojętnym. W ogóle zaś akcję zastąpiło wewnętrzne napięcie, które wytwarzają pełne jadu utarczki słowne między poszczególnymi członkami sportretowanej rodziny burżuazyjnej.

Autor użył całej siły swego talentu satyrycznego do odmalowania jej dokonanego już rozkładu. Główną potęgą finansową w „klanie" Duduleanu pozostaje stara Aneta, której statki naładowane zbożem docierały kiedyś do portów zagranicznych. Tyranizuje ona otoczenie, składające się zresztą z „potworów domowych".

Pierwotny tytuł „Trajkotek" — „Gniazdo os" — przylegał chyba lepiej do treści sztuki. Przywodzi mi on na pamięć „Noeud de vipères" Mauriaca, który dał w swej okrutnej powieści obraz podobnego kłębowiska żmij. Dlaczego Kiritescu zdecydował się w końcu na tytuł mniej wyrazisty? Czy nie po to, by zasygnalizować groźne zjawiska społeczne czające się niekiedy pod niewinnymi określeniami? W sztuce międzywojennego satyryka rumuńskiego nie ma ani jednej postaci pozytywnej. Nie budzi w nas sympatii nawet Margareta, poniekąd ofiara atmosfery panującej w domu Duduleanu, ale kobieta zmanierowana, postać charakterystyczna dla niedobrych lat trzydziestych naszego stulecia.

Dan Nasta zmodernizował „Trajkotki" w sposób chwalebnie prosty a pomysłowy. Przede wszystkim — nadając komedii obyczajowej ostre akcenty groteski. Dowcipne było np. wypunktowanie momentów kulminacyjnych zatargu paroma akordami przypominającymi sygnały ostrzegawcze filmów sensacyjnych. Na plus inwencji reżysera należy również zapisać kameralizację pewnych scen przy pomocy zwykłej, spuszczanej z góry, prostokątnej ramy. Specjalnie udatny efekt dał ten proceder w scenie niedoszłego „adultaire'u", potraktowanej z wybornym humorem. Interesująco też wypadła przy ostentacyjnym „wyjściu" stylizacja siostrzyc-meger pod wiedźmy szekspirowskie.

Niewątpliwą zasługą scenografa, George Dorosenco, jest utrzymanie jedności stylu kostiumów damskich, osiągnięte dzięki przystrojeniu ich wszystkich zabawnie zwisającymi, strzępiastymi falbanami z szyfonu czy innej „żorżety".

Z aktorów nikt się nie wyróżnił... wszyscy grali równie znakomicie! A więc: zasłużona artystka Margareta Baciu — obertrajkotkę, niezłomną tyrankę Anetę Duduleanu, Rella Ghitescu — jej siostrunię Zoię, emitującą swoje złośliwostki pod osłoną uprzejmego uśmiechu, Domnita Marculescu, nawiasem mówiąc, aktorka dwudziestoparoletnia — trzecią trajkotkę, niesamowitą maszkarę. Liana Margineanu — romansową Wandę, Violeta Popescu — histeryczkę Margaretę, Carmen Barbu — Colette Duduleanu, wyrachowaną synową Anety, Virginia Carabin-Raiciu — sztywną a przewrotną Fräulein, Aurora Roman — zabawną pyskatą służącą-kocmołucha, wreszcie trzej panowie: Boris Olinescu — Mircea Aldea, męża o spóźnionych skrupułach, oraz Valeriu Burlacu i George Macovei — skłóconych braci Georges i Ianache Duduleanu. W sumie, jak to się mówi — gra koncertowa.

Wspominałam wyżej o krzesłach ustawionych w niewiadomym celu na proscenium. Wbrew słynnemu powiedzeniu Czechowa o gwoździu, na którym skoro go wbito w teatrze, trzeba koniecznie coś powiesić, owe zwyczajne, tanie krzesła pozostały wolne do końca sztuki. Na tym bodaj polegała ich funkcjonalność. Mógł to być znak, że w skromnych domach demokracji ludowej nie zasiadają osoby z rodu Duduleanu i wówczas mielibyśmy piękny akcent optymistyczny. Lecz ktoś skądinąd gotów przyjść do wniosku, iż dałoby się bez wielkiego trudu posadzić na tych krzesłach kompleciik osób z widowni... Tak czy inaczej finał spektaklu — powolne zanikanie rodziny Duduleanu w gasnącym świetle pozostaje bardzo wymowny, nawet jeśli jest postulatywny.

Drugim spektaklem artystów z Jass, a właściwie w kolejności prezentacji — pierwszym, była „Droga zaufania", poemat sceniczny Paula Cornela Chitica, inscenizowany przez Catalinę Buzoianu. Tematem scenariusza jest walka o nowy świat budowany w myśl humanistycznych haseł rewolucji socjalistycznej. Przedstawienie — jak pisze w felietonie przedpremierowym sekretarz literacki Teatru im. Osterwy, Zofia Reklewska —

jest próbą stworzenia na scenie widowiska poetyckiego otwartego, przełamującego barierę dzielącą widza od aktora. Młody zespół aktorski teatru w Jassach w pewnych rękach Cataliny Buzoianu wykazuje tu niemałą sprawność i rzadką umiejętność gry naprawdę zespołowej. Łatwość budowania metafor scenicznych, odwoływanie się stale do wrażliwości widza i jego świata wewnętrznego, płynność obrazu, komponowanego zawsze z punktu widzenia ukrytych znaczeń i symboli, a nie zimnej logiki i następstwa czasowego — sprawiają, że sztuka Paula Cornela Chitic i Cataliny Buzoianu staje się okazją do rozważań nad istotnym sensem historii, nad losem zbiorowości ludzkich, nad celem istnienia.

Czytelnik spostrzegł oczywiście, że powyższa definicja charakteryzuje przy okazji znane nam z wielu niedawnych przedstawień tendencje naszych młodych reżyserów teatrów zawodowych i studenckich.

Ceniąc nieprzeciętny talent Cataliny Buzoianu (czemu dałam wyraz w omówieniu jej inscenizacji „Chorego z urojenia" oraz pseudokomedii Katarzyny Oprotu „Nie jestem Wieżą Eiffla") i szanując sztukę teatralną, która — jak każda sztuka autentyczna — nie znosi zakłamania, muszę dzisiaj powiedzieć otwarcie, że zeszłoroczne osiągnięcia młodej reżyserki w spektaklu molierowskim przewyższają, moim zdaniem, znacznie rezultaty jej pracy nad scenariuszem „Drogi zaufania". Wydaje mi się, iż zapał nowatorstwa stał się tym razem powodem przekroczenia niebezpiecznej granicy, jaka dzieli ponętne zamysły od udatnej realizacji.

Tak, prawdą jest niezaprzeczalną, że młody zespół aktorski wykazał się sprawnością gry zespołowej. Wymieńmy zatem aktorów — to ich prawo. Oto oni: Papil Panduru, Adrian Tuca, Virgiliu Costin, Aurora Roman, Gelu Zaharia, Gh. Marinca.

Pomijam wszakże charakterystykę postaci, gdyż sprawna zespołowość, chlubna sama w sobie, niweluje skądinąd cechy indywidualne osób występujących w tego rodzaju scenariuszach.

Najwięcej obiekcji wywołuje tu sprawa budowania metafor scenicznych. Mam wrażenie, iż Catalina Buzoianu, jak niejeden jej polski kolega — przecenia wyrobienie „szaradowe" masowego widza, dla którego przecie winny być przeznaczone monumentalne widowiska polityczne. W istocie uczestnictwo widza osiąga się nie środkami zewnętrznymi, nie gromkim powtarzaniem znanych haseł, lecz emocjonalnym zaangażowaniem w pokazywane na scenie sprawy konkretne konkretnych ludzi.

Pozwolę sobie wykorzystać sposobność do przypomnienia wielbicielom metafor scenicznych — „metoforycznej" przestrogi francuskiej: *Qui trop embrasse mal étreint*, co w wolnym przekładzie na polszczyznę miałoby brzmienie: „Gdy obejmiesz za wiele, uścisk słabnie". Faktem jest, że dzisiejszy teatr, jeśli chce pomóc ludzkości w budowie nowego życia, musi zaprzestać lubowania się w wydumanych symbolach i ogólnikowych rozważaniach nad „sensem historii".

Jest rzeczą zaiste paradoksalną, iż nowatorzy dobrej woli, atakujący, nieraz z niemałym nakładem inwencji, sprawy wielkiej wagi, pomniejszają je częstokroć osobliwą, nową odmianą schematyzmu, obfitującą w tak naiwne chwyty, jak choćby pokazane na końcu „Drogi zaufania" szamotanie się w zwojach folii, które ma symbolizować „bunt żywiołów".

Nie chcę oczywiście sugerować, że w inscenizacji „Drogi zaufania" totalnie zabrakło dobrych pomysłów — nie byłaby to robota utalentowanej Cataliny Buzoianu. Ładnie zrealizowano np. sekwencje „Nauka", „Entuzjaści", ciekawie wypadła scena ludzi-marionetek, pociąganych za sznury przez osobników, którzy się wspięli na drabiny (oj, mnoży się nam ta drabina niepomiernie i klasycznieje!)... Za poszczególne pomysły, owszem, brawko, ale chodziłoby przecie o wielkie brawo dla pani Cataliny za całość. Miejmy więc nadzieję, że publiczność lubelska będzie miała okazję obdarzyć nim cenioną przez siebie reżyserkę rumuńską — w przyszłym czerwcu.

Na zakończenie — wyraz szczerej satysfakcji z powodu utrwalonej już przyjaźni Teatrów: V. Alecsandri i J. Osterwy.

Aleksander Kiritescu „Trajkotki" Domnita Marculescu (Lena), Margareta Baciu (Aneta), Rella Ghitescu (Zoia). Rys. D. Opolski

Kazimierz Rosiński

* * *

Ty który masz na oku tyle planet
a każda porosła innym zwierzem
i o wszystkim wiesz w jednej chwili
i nie masz nawet poczucia czasu
gdy tymczasem żyjący co najwyżej mają go za wiele
i jesteś wspanialszy nawet od ludzi stawiających
śmieszne szałasy dla swoich myśli
który wszystko podpowiadasz przyjaciołom
i nieprzyjaciołom i ludziom zgoła obojętnym
tak że znają nazwanie wszystkich rzeczy
panie
bądź łaskaw wydziedziczyć opuścić zapomnieć
niejakiego Kazimierza Rosińskiego
niech będzie sam sobie
głupim czy mądrym jak zechce.

Kazimierz Rosiński od lat z upodobaniem uprawia zawód urzędnika. „W siedmiu już miejscach byłem urzędnikiem i nadal jestem urzędnikiem, Kafka też był urzędnikiem, bardzo dużo czytałem Kafki, to najlepszy dla mnie pisarz" — powiada.

Urodził się 21.II.1944 roku w Sobieszczanach (pow. Bełżyce) w rodzinie inteligenckiej. Do Lublina przyjechał w 1955 roku, szkołę średnią skończył w roku 1962. Studiował nieskutecznie polonistykę na UMCS. Czy studia te w sprawie własnego pisarstwa mogłyby się przydać? „Nieee!" Następnie odsłużył dwa lata w wojsku, skąd wyszedł jako kapral. („Nie każdy pisarz jest kapralem, aczkolwiek pewien generał jest pisarzem"). Potem właśnie rozpoczęła się epopeja urzędnicza.

Debiutował wierszem w roku 1965 w „Kulturze i Życiu" (dodatku do „Sztandaru Ludu"), potem opowiadaniem w „Kamenie", gdzie — jak dotąd — opublikował kilka opowiadań oraz jeden wiersz. Obecnie zbiera materiał na tomik prozy.

Bohater jego prozy maltretowany jest na wszystkie strony pod względem egzystencjalnym. „Piszę dla własnych potrzeb — powiada Rosiński. — Obezwładniam w ten sposób dręczące mnie sprawy. Zwykle piszę w pierwszej osobie. JA usprawiedliwia moje fabuły, zajmuje się wyrokowaniem o wszystkich i o wszystkim, a rzadko zajmuje się kolejnością i prawdopodobieństwem zdarzeń.

Co sądzi o lubelskim środowisku młodych pisarzy? „Żeby napisać coś autentycznego, trzeba za to zapłacić. Młodych lubelskich pisarzy nie stać na to. To grupa sknerów życiowych, wokół których kręci się kilku pozerów. A ja? Chociaż ze mną wcale nie lepiej, wierzę w siebie." Bez komentarzy.

MP

Wesele poety

DWA razy okrążyłem dom, zanim zobaczyłem starca, a właściwie tylko jego głowę, za szybą werandy. Obniżała się i podnosiła miarowo. Zapukałem w szybę. Cisza. Drugi raz zapukałem mocniej. Starzec, chociaż zwrócony był twarzą do mnie, zupełnie mnie nie zauważał. Bujał się w swoim fotelu. Wszedłem więc do wewnątrz i stanąłem przed nim.

— Dostałem zaproszenie — mówię. — Adres i data się zgadzają, ale to chyba pomyłka.

Starzec w ogóle mnie nie widzi. Zaczekałem jeszcze chwilę. W tym czasie zauważyłem, że fotel buja się coraz wolniej. Miałem już zamiar wyjść i dać spokój z tym weselem, gdy usłyszałem brzęk naczynia za drzwiami. Jeden pojedyńczy dźwięk w tej wielkiej ciszy, bo fotel kołysał się bezgłośnie.

Wszedłem tam. Przeszedłem hall i znalazłem się w sali biesiadnej. Goście weselni obsiedli wielki stół zastawiony różnym jadłem. Naprzeciw siedzieli młodzi — bardzo wielki mój przyjaciel poeta, człowiek wzniosłego ducha, a obok panna młoda, kobieta nie tylko interesująca, ale i, co poznawałem ze znaczącego uśmieszku, obiecująca.

Skierowałem się ku nim, lecz czarno ubrana staruszka, która właśnie wniosła półmisek z pieczoną kurą, schwyciła mnie za mankiet i popchnęła w stronę wolnego krzesła. Po czym znacząco przytknęła palec do ust. Gdy w niemałym pomieszaniu spojrzałem na młodą parę, ta filutka, panna młoda, zrobiła do mnie oko. Jeszcze bardziej się zmieszałem. Usiadłem i ukryłem się za plecami innych. Krzesło zaskrzypiało paskudnie. Wszyscy obejrzeli się w moją stronę. Wszyscy, tylko poeta był tak sztywny, jakby właśnie zakrztusił się kością.

Oczy, jego wielkie oczy, prawie wychodziły na wierzch. Wtedy mucha, zresztą jedyna, jaka była w tym zielonkawym półmroku, wpadła mu do oka. Wszyscy od początku byli wpatrzeni w poetę i wszyscy musieli to zauważyć, ale nikt na to nie zareagował. Pan młody ciągle wytrzeszczał ślepia. A mucha brnęła po jego źrenicy wielkiej jak Pacyfik. Coraz rozpaczliwiej usiłowała wydostać się na brzeg powieki. Bezskutecznie. Opadła z sił, coraz wolniej przebierała nóżkami.

Wtedy coś gwałtownie zatrzęsło piersią poety. Byłem przekonany, że wstrząs spowodowany był bólem, jaki sprawia mu ta mucha. Zerwałem się i mimo że usiłowano mnie powstrzymać, podbiegłem do poety. Chciałem ją stamtąd wydobyć. Lecz zanim dobrnąłem, wyrywając się z rąk biesiadników, mucha utonęła w źrenicy. Bezwładny jej zezwłok wolno spływał na rzęsy.

Wobec tego pozwoliłem się schwytać i nie stawiałem oporu, gdy popychano mnie na moje miejsce. Ledwie usiadłem, gdy znowu coś wstrząsnęło torsem poety. I zaraz po tym nastąpił następny wstrząs. Poeta zbladł jak płótno. Wydawał się najbardziej rozpaczliwie przerażonym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić. Zorientowałem się, w czym rzecz. Przerażały go te dziwne drgania. On ciągle jeszcze sądził, że nikt tego nie widzi. On tylko obawiał się, że w końcu wszyscy to zauważą.

Wstrząsy prawie nie ustawały. Wszyscyśmy byli przerażeni. A przy tym nieznośny był widok jego tragicznej twarzy, tych wychodzących z orbit oczu i beznadziejnie rozchylonych, grubych warg. Lepiej by było, gdyby zbył to jakimś żartem, próbował wyjaśnić, kłamać, żalić się — wszystko jedno, byleby coś robił.

Kiedy stracono nadzieję, że cokolwiek może zmienić tę atmosferę zupełnej beznadziei, wezwano muzykę. Wezwano muzykę, ale pojawił się tylko chudy, poczerniały, czy to z głodu, czy z choroby, obdarty facet z czymś w rodzaju fleta. Od razu przytknął ten patyk do ust i wydobywał z niego zawodzące, piskliwe tony. A poeta ciągle szamotał się z tą swoją bestią. Panna młoda ożywiła się przy muzyce. Poczęła się wiercić nieprzyzwoicie. Miałem wrażenie, że ją głównie interesuje jedna tylko rzecz, a ponieważ w całym tym zgromadzeniu byłem jedynym poniżej pięćdziesiątki, nie licząc poety, który i tak był nieobecny, cała jej uwaga, wszystkie jej finezyjne zabiegi kierowały się ku mnie. A ja coraz głębiej ukrywałem się za plecami sąsiadów. Więc panna młoda zrezygnowała ze swojej gry i zajęła się mężem.

On zdawał się być u kresu sił. Coś szamotało się już pod gorsem koszuli. Niewątpliwie jakieś zwierzę. Stawało się jasne, że to jakieś zwierzę. Flecista ciągle grał. W pewnym momencie, gdy zwierzę najwyraźniej zaczęło rozrywać koszulę, poeta zrezygnował ze swojej marmurowości, przycisnął ten szamocący się tłumok do piersi i z wściekłą pasją zaczął go upychać pod żebra. Wtedy panna młoda schwyciła go za ręce. Odciągnęła je od piersi i nie zwracając uwagi na żałosny krzyk swego męża, wyszarpała coś włochatego spod koszuli.

Bardzo obrzydliwe zwierzę wyskoczyło na stół. Przewracając półmiski i karafki, miotało się z jednego rogu w drugi. Wstaliśmy z miejsc i rzuciliśmy się za nim w pogoń. Ono wyrywało się i piszczało przy tym ohydnie. Robiło coraz większe spustoszenie na stole. Resztki ocalałych półmisków rozbijali niefortunni myśliwi. Flecista grał nadal, usunął się tylko w róg pokoju, by nie narażać się na potrącenie. Za to panna młoda szalała wprost z uciechy. Skakała, klaszcząc w dłonie, i dodawała otuchy temu obrzydlistwu.

Udało nam się wreszcie to schwytać. Pogryzło, co prawda, i podrapało prawie wszystkich biesiadników, lecz wcisnęliśmy je na swoje miejsce. Powiadam, na swoje miejsce, nie wcale nie jestem pewien, czy ono tam powinno być. Postąpiliśmy jednak słusznie, wtłaczając je w poetę. W takiej sytuacji, w tak uroczystej chwili, nie było czasu na inną decyzję. Niech na razie będzie tam, gdzie było.

Wróciliśmy na swoje miejsca. Poeta, który skądinąd jest znany jako wyśmienity kompan, jakby nagle przypomniał sobie dawne dzieje. Wygładził gors koszuli, otrzepał frak, poprawił muszkę i jednym haustem wypił resztę wódki, jaka została w przewróconej butelce leżącej przed nim.

— No to, zaczynamy!

Podał ramię swojej oblubienicy. Wstali i ruszyli ku drzwiom. Za nimi biesiadnicy i ja w ich liczbie. W takt piskliwego marsza wyszliśmy na werandę i zatrzymaliśmy się przed starcem.

— Pobłogosław nam, Ojcze! — powiedział uroczyście poeta.

Starzec, który tkwił w swoim bujanym fotelu, prawie już nieruchomym, nie poruszył nawet powieką.

— Pobłogosław nam, Ojcze! — zawołał jeszcze raz poeta.

Wytężaliśmy słuch. Zamarliśmy prawie. W tej ciszy słyszeliśmy potężny łomot serca. Coraz głośniejszy i coraz wolniejszy. Aż wielkie serce znieruchomiało.

Kamena str. 8

Rdza na śniegu

Kazimierz Orłoś

PRZYJECHAŁA w tydzień po pogrzebie Janka, w niedzielę o jedenastej, kiedy wszyscy trzej byliśmy w pokoju. Majster Stachowiak golił się przy oknie, krzywiąc twarz przed kawałkiem lusterka, a my z Władkiem jedliśmy śniadanie.

— Wszedł! — powiedział Władek Bąk z ustami wypchanymi chlebem, kiedy usłyszeliśmy pukanie.

Otworzyła drzwi i chwilę stała w progu, patrząc na nas niepewnie, a my także gapiliśmy się na nią: Stachowiak odwrócony od okna, z namydloną twarzą, Władek Bąk z chlebem w ustach i ja z uniesionym kubkiem. Była drobna, nieduża, na głowie miała czarną chustkę, a na rękawie niebieskiego płaszcza opaskę z krepy.

— Prosimy, prosimy — powiedział Stachowiak, kiedy ją poznał. — Niech szanowna pani wejdzie. Proszę się nie krępować. Władziu, Romku, proście panią do środka!

Weszła, cały czas uśmiechając się niepewnie, rozejrzała i spytała:

— Nie wiem czy dobrze trafiłam. Z wami mieszkał Klimek Jan, cieśla? Ten, co się zabił — dodała.

— Jasne, że tak. Janek mieszkał z nami — powiedział Stachowiak. — Szanowną panią pamiętamy z pogrzebu, choć pani nas nie. W takich chwilach człowiek nie zwraca uwagi na nic.

Wstał, pocałował kobietę w rękę i pomógł zdjąć płaszcz. Potem poprowadził do stołu. Usiadła na brzegu krzesła.

Milczeliśmy patrząc na nią. Nie wiedzieliśmy o czym mówić — żaden nie wiedział, jak zacząć. Stachowiak przestępował z nogi na nogę. Z namydloną twarzą stał za jej krzesłem. Odezwała się pierwsza:

— Proszę sobie nie przeszkadzać. Panowie jedli śniadanie, a pan, zdaje się, golił.

— To my przepraszamy na nieład — majster popatrzył na nieposłane łóżka. W kącie leżały puste butelki po winie, stały zabłocone buty. — Władziu, Romku — zwrócił się do nas — trzeba się gościem zająć. Może napijemy się czegoś dla rozgrzewki?

Wstałem i wyjąłem z szafy napoczętą półlitrówkę. Postawiłem na stole i wróciłem po szklanki.

— Proszę sobie nie robić kłopotu — powiedziała. — Przyjechałam po rzeczy Janka.

— Oczywiście, oczywiście — Stachowiak stanął przy oknie. Dopiął spodnie i poprawił kołnierzyk koszuli. Starł z policzków mydliny. — Rzeczy Janka są w szafie. Zaraz pani wydamy.

— Ja wiem, czy tak zaraz możemy wydać? — odezwał się Władek Bąk.

Popatrzyliśmy na niego zaskoczeni. Siedział rozwalony, długie nogi w pantoflach bez pięt wyciągnął przed siebie. Był w golfie. Na czole miał zakrzepłą krew — wczoraj wieczorem pobili się na zabawie.

— Władziu — powiedział Stachowiak — przecież pani jest żoną Janka.

Władek Bąk wzruszył ramionami: — Formalnie nie będziemy w porządku. Mówię to przy świadkach.

Stachowiak postukał się palcem w czoło. — Niech pani go nie słucha. To dusza człowiek. Był przyjacielem Janka.

Nalałem do szklanek. Postawiłem butelkę na stole i podszedłem do łóżka przy drzwiach. To jego było zasłane. Na ścianie, nad nim, przypięte były wycinki z dziewczynami w kostiumach. Pośrodku wisiał święty obrazek z Matką Boską Częstochowską. Uklękłem i wyciągnąłem spod łóżka tekturową walizkę. Stachowiak otworzył drzwi szafy. Żona Janka wstała szybko.

— Pan pozwoli — powiedziała. Zabrała mi z rąk walizkę.

Odsunąłem się i patrzyłem, jak układała rzeczy, które Stachowiak wyjmował z szafy. Był tam czarny garnitur — tenis, dwie popelinowe koszule: niebieska i biała w różowe paski, jedna koszula non-iron z wytartymi mankietami, kalesony, szelki, trzy krawaty na gumkach (czarny, niebieski i granatowy z wymalowanym łabędziem), budzik, który przestał iść w dniu śmierci Janka, szczoteczka do zębów, maszynka do golenia, pędzel, kilka par skarpetek, sweter, blaszany kubek, talerzyk z wymalowanym pośrodku kwiatkiem i stary rozkład jazdy PKP.

— To wszystko — powiedział Stachowiak. — Szeroko otworzył drzwi szafy. — Pani będzie łaskawa spojrzeć.

Uśmiechnęła się. Przymknęła wieko tekturowej walizki.

— A zdjęcia? — zapytał Władek Bąk. Pokazał wycinki nad łóżkiem.

Stachowiak popatrzył na niego i zmarszczył brwi.

— Pani wie: dla żartów każdy to wycinał i wieszał. Chyba nie warto brać. Nie będą potrzebne.

— Dlaczego? Jak wszystko, to wszystko — powiedziała.

Uklękła na łóżku Janka i zaczęła zdejmować wycinki. Pomagałem jej podważając pinezki scyzorykiem. Żal mi było tych zdjęć. Janek wycinał je z „Filmu" i „Panoramy", przeważnie duże i kolorowe. Najwięcej było dziewczyn znad morza: opalały się na słońcu, w skąpych kostiumach, roześmiane i zadowolone. Kiedy zdjęliśmy wszystkie, złożyła je starannie i wsunęła do walizki.

— Jeszcze Matka Boska — powiedział Władek Bąk.

— Racja, racja — przytaknął Stachowiak. — Jego Matka Boska. Pamiętam, jak wieszał.

Zdjąłeś ostrożnie obrazek, a ona położyła go na popelinowej koszuli w różowe paski, tuż pod wiekiem walizki. Usiedliśmy znów przy stole. Stachowiak podsunął szklankę.

— Dla rozgrzewki. Na pewno nie zaszkodzi.

— Głowa mnie zaraz boli — powiedziała.

— To może kawy? Pani pewno zmęczona.

— Nie, nie — broniła się. — Zaraz muszę iść. O pierwszej mam autobus.

— Trzynasta piętnaście — poprawił Władek. Wziął ze stołu szklankę i wypił duszkiem. Wytarł usta dłonią.

Żona Janka patrzyła na Stachowiaka. Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć. Zmarszczyła brwi (to jedno, co miała ładne — brwi i oczy: oczy duże i brązowe i brwi, jak narysowane węglem). Nie zdążyła — znów pierwszy odezwał się Władek Bąk:

— Jeszcze pudełeczko zostało. — Wyjął z szuflady paczkę prezerwatyw i położył na stole.

Zamurowało nas. Stachowiak wytrzeszczył oczy, widziałem, jak poczerwieniała mu szyja. Ale ona jakby nie dostrzegła. Powiedziała cicho: — Chciałabym zobaczyć to miejsce.

Dzień był słoneczny, jak wtedy — niebieskie niebo, śnieg na dachach osiedla, szyby powleczone mrozem. Szliśmy na budowę gęsiego. Stachowiak pierwszy, w granatowym płaszczu i futrzanej czapce, ona za nim — drobna, nieduża, w czarnej chustce, i ja na końcu z tekturową walizką Janka. Słyszeliśmy tylko skrzyp śniegu. Obłoki pary przy ustach pojawiały się przy każdym oddechu i nikły, jak dym. W dole, pod nami, na tle błękitnego nieba, widać było betonowy masyw zapory przecinającej rzekę. Szary, wielki, z rudymi zaciekami rdzy pod nierówną jeszcze koroną. W cieniu zapory, niżej, błyszczały szklane ściany siłowni. Schodziliśmy ostrożnie wąską ścieżką wydeptaną w śniegu. Władek Bąk został w hotelu.

Potem wchodziliśmy na koronę krętymi schodami.

— Trzydzieści pięter — powiedział Stachowiak. — Pół godziny wchodzenia.

Mijaliśmy galerie — zaglądała ciekawie do pustych, długich korytarzy, w których echo powtarzało słowa Stachowiaka — szliśmy wyżej, cierpliwie, po oblodzonych stopniach, wdychając wilgoć betonowych ścian. W końcu, w górze, błysnęło słońce. Stanęliśmy na chwilę na ostatnim podeście schodów.

— Pani pozwoli — powiedział Stachowiak i podał jej rękę.

Wyszliśmy na betonową płytę. W dole był zalew — wielka, pusta płaszczyzna lodu pokrytego śniegiem. Na tle dalekich brzegów widać było białe smugi zadymki. Żona Janka wsunęła rękę pod ramię Stachowiaka. Poprowadzili ją ostrożnie na skraj płyty nad przelewami. Zostawiłem walizkę przy schodach i poszedłem za nimi. Patrzyliśmy w milczeniu w stumetrową przepaść. Śnieg w dole skrzył się w słońcu.

— Zdejmował szalunki na ścianie po tamtej stronie — powiedział Stachowiak, — odpiął pas i zaczął wchodzić po sznurowej drabince. Chciał coś zjeść, była dziesiąta. Wtedy z kubła na dźwigu spadła deska. Lewandowski krzyknął: „uważaj!" Widział, jak deska leciała. Janek podobno podniósł rękę, chciał się zasłonić, ale nie zdążył. Dostał w głowę i odpadł od ściany. Jeszcze o filar niżej zawadził, palcami przeleciał po lodzie (filar był oblodzony). Potem spadł na sam dół. Na śniegu został ślad, jak od rdzy. Dziś już nie widać, świeży śnieg spadł.

Stachowiak zamilkł. Patrzyliśmy na dalekie smugi zadymki. Unosiły się i opadały jak dym. Mrużyliśmy oczy przed słońcem. Ktoś nagle zakaszlał za nami — to był Władek Bąk. Stał w rozpiętym płaszczu (zielony golf, ślady krwi na czole), chwiał się lekko. Ręce trzymał w kieszeniach.

— Co ty tam wiesz — powiedział do Stachowiaka. — Spałeś.

— Romku — zwrócił się majster do mnie — uważaj na niego. — Potem powiedział do Władka: — Mów, mów. Byłeś przy tym.

Władek Bąk splunął. — To nie była deska, tylko pręt. I w piersi dostał, a nie w głowę.

Stachowiak wzruszył ramionami: — Jemu tam wszystko jedno.

— I nie było słońca — dokończył Władek.

Wiatr rozwiewał włosy na jej czole. Staliśmy patrząc na lód. Stachowiak schylił się i podniósł okruch betonu.

— Niech pani liczy — powiedział. Rzucił betonowy kamyk.

— Raz, dwa, trzy... — szepnęła.

— Nie dłużej — pokiwał głową majster. — Władek i Lewandowski zjechali po niego kolebą. Opowiedz, Władziu, jak było.

Władek milczał i Stachowiak powiedział po chwili: — Śnieg naokoło poczerwieniał i tak... Nawet krzyknąć nie zdążył.

Nie mówiliśmy więcej. Patrzyliśmy na dalekie smugi zadymki. Żona Janka zacisnęła palce na ramieniu Stachowiaka.

Na dole poszliśmy w stronę krzyżówki, gdzie stają autobusy. Szła obok majstra — cały czas trzymała go pod rękę. Niosłem tekturową walizkę. Władek szedł kilka kroków za nami. Potykał się co chwilę, klął — jakby coraz bardziej był pijany.

Minęliśmy most, budkę strażników i doszliśmy do przystanku. Autobusu jeszcze nie było. Stanęliśmy obok ławki przysypanej śniegiem. Postawiłem walizkę na asfalcie pokrytym lodem. Stachowiak zatupał nogami.

— Tak, tak — westchnął. — Był chłopak i nie ma.

Władek oparł się o słup przystanku. Usiłował zapalić — zapałki gasły mu na wietrze. Popatrzył na majstra i splunął.

— Nie ma, nie ma! Każdy wie!

— Nie mówię do ciebie — powiedział majster. Odwrócił się do Władka plecami.

Władek cisnął papierosa o śnieg. Podszedł do nas zataczając się. Żona Janka przysunęła się bliżej Stachowiaka.

— Pani! — powiedział Władek. — Pani! — Wyjął coś z kieszeni płaszcza, wyciągnął rękę. — To także jego.

Cofnęła się, wydało mi się, że zmarszczyła brwi. Ale to był tylko czarny, trochę zmięty beret.

— Leżał przy nim. Na śniegu.

Patrzyliśmy na Władka w milczeniu. Trzymał ten beret w dużej, czerwonej ręce, póki nie wzięła. Nie spojrzał na nas więcej. Odwrócił się i odszedł. Starał się iść równo, ale potykał się co chwilę, jakby zaraz miał upaść. Zatoczył się, idąc przez most.

Nie zdążyła nic powiedzieć ani podziękować. Pomogłem jej otworzyć walizkę. Położyła beret na popelinowej koszuli, obok wycinków z „Panoramy" i świętego obrazka. W chwilę później nadjechał autobus.

Pomogliśmy żonie Janka wsiąść do środka — Stachowiak podtrzymał za łokieć, podałem walizkę. Na szybach autobusu był szron. Znikła nam z oczu, jak tylko trzasnęły drzwi.

Tuman brudnego śniegu opadł na drogę.

Potem wolno zaczęliśmy wracać przez pusty most.

Heraldyka i piwo

Kazimierz Parfianowicz

WYBACZCIE mi, czytelnicy, trawestację pomysłu z okładki pana Fillerowej książki, ale skojarzenie autora „Melpomeny i piwa" doskonale nadaje się do patronowania naszym rozważaniom. Będą one bowiem rzeczywiście dotyczyły heraldyki i naprawdę piwa, a także naszego Kazimierza.

* * *

Było to jeszcze przed wojną, w sławne Dni Kazimierza, kiedy miasteczko szalało z radości. Nie tylko z powodu gości, których woziły z Lublina specjalne autobusy: z zapomnianej przeszłości miasto uzyskało znak heraldyczny — inicjał „swego założyciela i budowniczego, Kazimierza Wielkiego, pełnoprawnie używany jako godło miasta jeszcze przed połową XVI wieku na pieczęci sekretnej civitatis Cazimieriensis". Oto w 1938 roku historyk Jerzy Niemojewski — emocjonalnie i familiarnie związany z Kazimierzem — opublikował 39-stronicową rozprawkę pt. „Z historii Kazimierza Dolnego i jego okolic", będącą pełnym tekstem rozważań i przypisów wydrukowanym częściowo w poprzednim roku w numerze 8 miesięcznika „Ziemia".

Pisał tam Niemojewski o nie znanym dotąd badaczom wykazie opłat czopowego — podatku od produkcji piwa w Kazimierzu z roku 1544, zawierającym listę ponad 100 osób spośród jego mieszkańców, które zajmowały się warzeniem tego trunku. Oryginał znajdował się w księdze poborowej województwa lubelskiego (nr 33) obejmującej XVI wiek, przechowywanej w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Wacław Husarski, który osiem lat po wojnie wydał obszerną książkę o Kazimierzu — jego miscellaneową monografię — potędze kazimierskiego piwowarstwa (w oparciu o Niemojewskiego) poświęcił osobny rozdział: „V. Dobrobyt wzrasta. Kazimierz warzy piwo". Dane z rejestru czopowego pozwoliły Husarskiemu obliczyć ilość piwa wyprodukowanego w owym 1544 roku na 4 miliony litrów (?).

Ale nie tylko takie wnioski wypływały z rozważań nad rejestrem czopowego. Były także nowości i rewelacje... heraldyczne. Otóż wiarygodność czopowo-rejestrowanych danych potwierdzała urzędowa pieczęć kazimierska odciśnięta na końcu tego liczącego 33 karty dokumentu. Była to „Secreta civium Cazimiriensum", a więc pieczęć sekretna, używana w kancelarii miejskiej, z literą „K" pod koroną.

Niemojewski i Husarski ogłosili to jako nieznany, a pochodzący od osoby króla Kazimierza Wielkiego znak heraldyczny Kazimierza Dolnego, traktując go nawet jako herb, którego jednak zupełnie inny wzór, znany z dokumentów z drugiej połowy XVI stulecia, przetrwał aż po wiek XIX.

Taki jest oto związek heraldyki z piwem. Ale jako że nauka po piwie krętym chadza szlakiem, spróbujmy z trzeźwą głową pójść jej śladami. Oto fragment z rozprawy Niemojewskiego:

W liście imiennej opłat od warzenia piwa (r. 1544) spotykamy wyłącznie polskie nazwiska, często przezwiska niedawnych widać przybyszów, niektóre dość oryginalne, jak: Bałamut, Kozikowal, Kociowąs, Cichowlasł, Goniwiecha, a nawet Piwaniemasz. Jedynie parę nazwisk (Monilarius, Lenig, Pellio, Lenarth, Mithans, Lanka, Stag-murator, Math. Corg), brzmi trochę obco. (s. 10—11).

Prawda, że wymienione w nawiasach nazwiska brzmią „trochę obco". Bo są to po prostu nazwy łacińskie. I tak np. „Pellio" w łacińskim zapisie w rejestrze to po polsku — kuśnierz. A reszta: Lenig, Stag-murator, Corg — któż oni? Na takie pytania nie sposób odpowiedzieć bez zajrzenia do oryginału dokumentu. Księga poborowa nr 33 w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie miała wyjątkowe szczęście: nie spłonęła, nie zniszczała, nie zginęła.

Wąskie, wysokie karty czerpanego papieru zapisane zostały wyraźnym łacińskim tekstem.

Każdemu, kto miał możność choć trochę otrzeć się o paleografię łacińską, zapisy te nie nasuwają większych wątpliwości. Najwyżej co do sposobu odczytania ich przez Niemojewskiego. Widoczne wyżej ostatnie znaki poszczególnych wyrazów, podobne do litery „g", nie są jednak literą, a znakami abrewiacji czyli skrótu. Tak jak np. itp, itd, mgr, dr — zastępują całe wyrazy, tak znak „9" zastępuje sylabę i czyta go się jako „-us". Tak więc „lani9" — lani (us), „Sta9" — „Sta(tus), gdzie dodatkowo wprowadzono jeszcze ligaturę, a więc złączenie oddalonych od siebie sylab z wyrzuceniem dwóch środkowych. Stąd wyraz ten będziemy czytać „(Sta)(nisla)(us) Lanius = rzeźnik, Stanislaus murator — Stanisław Murarz itd. Podobnie niewłaściwie został odczytany Mathias Coc9 (Cocus)) = Maciej kucharz, w którego określeniu zawodu Niemojewski na dodatek drugą literę „c" wziął za „r" i stworzył dziwaczną formę: „Corg". Nie są to więc nazwiska ani nazwy obce. Błędy Niemojewskiego zachowały się u kolejnych badaczy aż po Rutkowskiego, autora monografii Kazimierza wydanej przez „Arkady" w 1965 roku.

Wymienione w rejestrze, a wyrywkowo opublikowane przez Niemojewskiego nazwiska, imiona i przezwiska są bardzo charakterystyczne, jednak księgi miejskie Kazimierza Dolnego, aczkolwiek zaczynające się dopiero od roku 1555 (Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie), żadnego z nich nie notują. Czyżby w ciągu jedenastu zaledwie lat pokolenie płacące w 1544 r. podatek od produkcji alkoholu przestało istnieć? Niemożliwe. Trzeba więc zapytać: którego Kazimierza dotyczy ów rejestr? Dokument nie określa tego bliżej.

Miasto Kazimierz pod Krakowem założone zostało w roku 1335 także przez Kazimierza Wielkiego i nosi w herbie królewski inicjał: literę „K" pod koroną. Hm, powie ktoś, godło miasta wyjaśnia sprawę. No, nie tak bardzo. Literę „K" pod koroną ma w herbie jeszcze kilka innych miast, jak Grybów czy Tymbark. Nie można wykluczyć posiadania takiego godła również przez Kazimierz Dolny. Nie ma co prawda dowodów „za", ale i nie ma „przeciw", a jedynym udokumentowanym i stanowiącym wyłączną przesłankę do przypisania Kazimierzowi Dolnemu litery „K" pod koroną jest owa pieczęć z omawianego wyżej rejestru czopowego z 1544 r. Jak sprawdzić, którego Kazimierza dotyczy ów rejestr?

Oto księga dokumentów dotyczących Krakowa, opublikowana przed prawie stu laty przez Franciszka Piekosińskiego. Wśród nich także materiały odnośnie Kazimierza pod Krakowem, dziś jego dzielnicy: opłaty szosu z lat czterdziestych XVI w. (szos-podatek płacony od domów). I oto jest odpowiedź: ci sami wymienieni w liście opłat czopowego z 1544 r. mieszkańcy Kazimierza opłacają podatek od zajmowanych domów w Kazimierzu pod Krakowem. Niektórzy z nich mają własne domy, niektórzy są komornikami.

Sprawa jest już jasna: rejestr czopowego z roku 1544, łączony dotychczas z Kazimierzem Dolnym, odnosi się do Kazimierza pod Krakowem, do Księgi poborowej województwa lubelskiego włączony został omyłkowo jeszcze w XVI stuleciu.

Dokument z roku 1544 nie może więc być podstawą do uznawania litery „K" pod koroną za godło Kazimierza Dolnego i stosowanie go w Kazimierzu Dolnym w czasie różnych uroczystości może być tylko gestem o podłożu sentymentalnym wobec pamięci króla Kazimierza Wielkiego, którego litera ta jest inicjałem.

W konsekwencji kreowanie Kazimierza Dolnego na wielki ośrodek produkcji piwa w połowie XVI wieku musi ulec weryfikacji, ponieważ dotychczasowe obliczenia (o ile są prawidłowe, a to niech zweryfikuje historyk zajmujący się historią gospodarczą) dotyczą Kazimierza pod Krakowem.

O różnicy skali produkcji alkoholi, od których płacono czopowe (piwo, wino, gorzałka, miód), w tych dwóch ośrodkach miejskich niech świadczą dwie następujące liczby (brak równoczesnych danych dla obu miast): w r. 1544 Kazimierz pod Krakowem zapłacił czopowego 1047 florenów, 1 grosz i 4 denary, a w r. 1580 Kazimierz Dolny 510 florenów, 22 grosze i 2 soldy, czyli o połowę mniej od swego podkrakowskiego imiennika. A więc koniec mitu.

Teraz zaś chodźmy na „Trybunalskie" z lubelskiego browaru, bo należy nam się duża bomba. Nam, to znaczy autorowi i panu mgrowi Jerzemu Gutkowskiemu z Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie, którego udział w dyskusji nad dokumentem z 1544 roku pomógł nie pijącemu dotąd piwa historykowi sztuki w rozwiązaniu trapiących go wątpliwości. Przeto: na zdrowie!

Ocalić od zapomnienia

Dokończenie ze str. 3

wąskofrontowe, z wnękami narożnymi i centralnymi, wiatraki, lamusy, klasyczne typy wsi: łańcuchówkę, rzędówkę i szeregówkę... Doliczyć się można najwięcej w kraju, bo 23 ośrodków garncarstwa, o tradycjach sięgających XV wieku, kilku czynnych ośrodków tkactwa ludowego. . Na Lubelszczyźnie pracują jeszcze autentyczni malarze i rzeźbiarze ludowi, także kilku kowali. Obecnie województwo należy do najbardziej zasobnych w kraju w dziedzinie kultury ludowej. Więc co? Nie martwmy się, poczekajmy? Poczekajmy, aż staniemy się zamożni proporcjonalnie do opiekuńczych zadań, jakie stoją przed muzealnictwem Lubelszczyzny? Trzeba powiedzieć jednoznacznie, że każda zwłoka przekreśla raz na zawsze szanse uratowania autentycznej kultury ludowej, szczególnie zaś budownictwa drewnianego.

Według ewidencji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, opartej na penetracji około 20 procent wsi Lubelszczyzny, zachowało się dotąd (1971 r.) 351 zabytkowych chałup, 289 wiatraków, 14 młynów wodnych, 568 dworów, czworaków, śpichlerzy, stodół i tym podobnych budynków gospodarskich. Statystyce tej nie należy jednak ufać, liczba obiektów zmniejsza się bowiem z dnia na dzień, dość powiedzieć, że w tej chwili w całym województwie jest zapewne około 100 wiatraków, podczas gdy trzy lata temu było ich niemal czterokrotnie więcej, bo 377. Liczby te najwymowniej chyba ilustrują tempo i ogrom spustoszenia, jakie czas urbanistyczno-przemysłowy niesie kulturze ludowej. Za dwa — trzy lata, jak tak dalej pójdzie, możemy liczyć „koźlaki" na palcach. Dziś już nie spotka się na Lubelszczyźnie, powszechnych niegdyś, maneży na kieraty drewniane; dwa ostatnie rozebrano na opał bodaj rok temu. Nie uświadczy się też olejarni — poza magazynami Muzeum Wsi Lubelskiej; jedną z nich można oglądać w postaci częściowej, w ostatniej chwili pracownicy Muzeum wyrwali fragment urządzenia spod siekiery rolnika, który rąbał nieprzydatną mu już do niczego machinę.

Powróćmy jeszcze do wspomnianej ewidencji zabytków, opartej na ogólnopolskiej akcji dokumentacyjnej z 1959 roku i co pewien czas aktualizowanej. Została ona przeprowadzona w atmosferze — nie należało to do rzadkości, przeciwnie — radości i zrozumienia praw finansowych. Otóż za wyszukanie obiektu w terenie i wpisanie go do karty inwentaryzacyjnej „leciało" 90 złotych. Im więcej kart, tym lepiej oczywiście dla inwentaryzatora, pracującego na rzecz Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków MKiS. W gruncie rzeczy nikt dziś nie wie na pewno, ile posiadamy obiektów wartych zachowania i opieki. W żadnym już wypadku, także z podanych wcześniej względów, nie można ustalić liczby zabytków budownictwa drewnianego.

„Świątek", drewno polichromowane. Bużno, pow. hrubieszowski.

Fot. J. Świderski

Zresztą: według Dziennika Urzędowego WRN w Lublinie w województwie istnieje 5500 miejscowości, według autorytatywnych przekazów ustnych — 3500. Pozostańmy przy tej ostatniej liczbie, konfrontując ją z czterema pracownikami Muzeum Wsi Lubelskiej i czterema — działu etnograficznego Muzeum Okręgowego. Ile czasu zajmie tym ludziom, tułającym się z krańca na kraniec Lubelszczyzny, pobieżne choćby spenetrowanie całego terenu, jeśli dziennie, przy sprzyjającej pogodzie i znośnych dojazdach, w najlepszym wypadku można odwiedzić cztery miejscowości? Uruchomienie informacyjnej pomocy społecznej, co jest jednym z celów kampanii, sens swój posiada, ale...

Ale wypada zwrócić uwagę inicjatorów cennego w końcu przedsięwzięcia na pewne fakty, nie należące do sporadycznych. Oto do Muzeum Wsi Lubelskiej — w organizacji i w baraku — przychodzą kobiety wiejskie taszcząc ogromne toboły ludowych tkanin, produkowanych na starych wzorach i przy użyciu tradycyjnych tworzyw i technologii; o tym że MWL skupuje zabytki sztuki i kultury ludowej, wiedzą już co nieco we wsiach, ponieważ pracownicy placówki ciągle siedzą w terenie. Taszczą w nadziei, lecz odchodzą obarczone, złorzecząc na czym świat stoi, bo Muzeum nie może gromadzić nowych nabytków, jako że w baraku miejsca już nie ma, a oba magazyny przyszłego skansenu, w Wojsławicach i Suchawie, wypełnione są po dach: taki jeden kierat drewniany ma dwa i pół metra wysokości, a olejarnie, „kaszak", niby liliput wśród wiatraków, lecz swoje dwa metry mierzy, oraz mechanizm młyna wodnego — w komórce się nie zmieszczą. Mówiąc krótko: ani MWL, ani Muzeum Okręgowe nie mają gdzie gromadzić pęczniejących zbiorów. Sama zaś wiedza o istnieniu chałupy czy wiatraka może wprowadzić te budowle co najwyżej do rejestru zabytków, jeśli są szczególnej wartości, automatycznie wyprowadzając z równowagi ich posiadaczy z tytułu prawa.

Bo jak wiatrak w rejestrze, to nie może go rolnik rozebrać i sprzedać, a jak wiatrak na polu, to kłopot ze sprzedażą ziemi, ponieważ bywa często, że ewentualny kupiec chce mieć ziemię czystą, bez kulturowych symboli, które chleba nie dają, a wadzą w intensyfikacji gospodarki rolnej. Kampania odwołuje się do uczuć obywatelskich, a człowiek czasów stabilizacji wrażliwszy wydaje się być na dźwięk mamony.

Często przecież proponują rolnicy Muzeum Wsi Lubelskiej sprzedaż: a to lamusa modrzewiowego z XVIII wieku, którego rysunek odnaleźć można w książce Glogera z 1907 roku „Budownictwo Drzewne...", a to chałupy o wyjątkowo cennej konstrukcji, zbytecznej przecie, bo obok już murowaniec z typowego katalogu pomysłów na brzydotę stoi... Kupić można, kupić trzeba, ale co dalej? Rolnik sprzedaje pod jedynym warunkiem: że się budynek ściągnie z jego terenu. Ściągnąć też nie problem, ale problem, nierozwiązywalny problem, ze zmagazynowaniem zdemontowanego obiektu. Raz jeszcze trzeba powtórzyć: Muzeum Wsi Lubelskiej nie ma gdzie gromadzić zabytków budownictwa i sztuki ludowej, co całe piękne gadanie o „kulturze ludowej jako o dobru narodu" wprowadza w światy czystych intencji nierealnych.

Wszystkiego nie da się uratować, zdecydowana większość chałup, wiatraków, młynów, śpichlerzy — zniknie z powierzchni ziemi za sprawą czasu lub takich przypadków losowych, jak niedawny pożar w Dzierzkowicach w powiecie kraśnickim, który strawił 120 zabudowań. Dziesięciohektarowy skansen, jeśli stanie się chlubnym, było nie było, faktem, pomieści zaledwie 50 obiektów, choć należałoby ze względów historyczno-etnograficznych umieścić przy ul. Kalinowszczyzna 150 obiektów. Istnieje przecież rozwiązanie tego problemu, znów jednak prowadzące do magazynów, tym razem konserwatorskich, w których, gdyby były, można by zabezpieczyć konieczną do summy kulturowej setkę.

Interesy kultury narodowej przemawiają za umocnieniem lokalowym i organizacyjnym — nie jutro, ale w miarę możliwości zaraz — Muzeum Wsi Lubelskiej. Będzie to najcenniejszy wkład Lubelszczyzny w kampanię „Kultura ludowa — dobrem narodu".

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 10

Okolice sztuki

Między ironią a żarliwością

KATALOG IV Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie jest co najmniej elegancki, jego zielonkawo-błękitna, ze srebrzystym połyskiem, okładka zmusza do spojrzenia na dłonie — czy są na tyle czyste, aby dotknąć poligraficznego symbolu kultury artystycznej?

Katalog III Poplenerowego Pokazu Plastycznego, finalizującego imprezę zorganizowaną przez Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie, spięto jasnobrązowym kartonem, na wierzchu nalepiając zeszytową naklejkę, na której można skreślić nazwisko szczęśliwego posiadacza. Tekst katalogu wydrukowano na powielaczu, reprodukcje to amatorskie fotografie przytwierdzone do tandentnego papieru klejem roślinnym.

Ogromne przestrzenie jakości i znaczenie dzielą te dwie publikacje — dokumenty faktów właściwie nieporównywalnych. W Krakowie ocieramy się wzrokiem o świat graficzny, 1230 prac 435 autorów prezentuje najwybitniejsze osiągnięcia współczesnej sztuki, walące na kolana swoją wirtuozerią warsztatową, wyrafinowaniem wyobraźni i siłą sugestii.

Biennale przypomina międzynarodowe targi nowoczesnej techniki: wszystko opiera się na aktualnych technologiach materialnych i koncepcyjnych, jest świetnie, zachęcająco opakowane i podane. Pałac Sztuki i sąsiedni pawilon opuszcza się w przekonaniu, że towar taki przynajmniej należałoby posiadać, jeśli nie można mieć go na własność. Subtelne doznania kolorystyczne, z lekka przyprawione tajemnicą n i e z n a n e g o, którą musi zawierać serigraficzny „Sosnowy kredens", proponuje Kanadyjczyk Ondaatje Kim, laureat Grand Prix. Wizualne gry Victora Vasarely fascynują, jak za najlepszych lat op-artu, choć na pewno są już dziś mniej pociągające niż e r o t y k i Japończyków czy Janeza Bernika. Biennale zapewnia także refleksję społeczną i polityczną, dzięki obecności prac Norwega Kleiva Per, laureata drugiego Grand Prix, dzięki niewiarygodnie wprost zwartym formalnie „Londyńskim dokom" Winnera Gerda z Berlina Zachodniego. Jeśli ktoś upodobał sobie w sztuce konceptualnej, może poczytać serigrafię Bena (Vautiera), gdzie na czarnym tle widnieją słowa „Patrzcie gdzie indziej". Nie ulega wątpliwości: jest gdzie i na co popatrzeć, zapytując siebie samego, jak to się stało, że pojęcie tzw. sztuki zaangażowanej wiąże się przede wszystkim z grafiką niepolską?

Na plenerze w Hrubieszowie, upamiętnionym zeszytową publikacją o rozbrajającej skromności, było kilku skromnych plastyków, niektórzy z nich nie należą nawet do ZPAP, malują konwencjonalne pejzaże bliskie ubiegłowiecznemu realizmowi, w sporadycznych tylko przypadkach ujawniające dobre opanowanie warsztatu. Co i do czego tu porównywać? A przecież istnieje jedna płaszczyzna łącząca regionalny pokaz z międzynarodową imprezą, płaszczyzna elementarna, bardziej psychologiczna niż artystyczna, bardziej motywów działania dotycząca niż jego efektów.

Zarówno ci mało znani malarze i graficy, jak i wybitni twórcy, uczestniczący w krakowskim Biennale i mający już trwałe miejsce w historii sztuki współczesnej, kierują się jedną potrzebą: uzewnętrznienia swojej osobowości poprzez obraz, rycinę, poprzez znak plastyczny. Tych mniej sprawnych, o mniejszej wrażliwości i naturalnych predyspozycjach, nikt i nic nie jest w stanie powstrzymać przed uprawianiem malarstwa czy rysunku, żadna miażdżąca ocena ich wytwarzania nie unieruchomi ich ręki.

A ludzi takich będzie coraz więcej, bo w anonimowym świecie wielkich zbiorowości już tylko sztuka stwarza szansę na wyrwanie się z tłumu, na ujawnienie swej indywidualności, co wymaga szacunku, choć prowadzi często do multiplikacji z n a k ó w banalnych, niczego poza faktami z historii nie komunikujących. Powstają one z potrzeby tak żarliwej sentymentalnie, że przeszkadzają autorom w nabraniu najmniejszego choćby dystansu do własnego tworzenia, do sztuki w w ogóle, która w ich oczach wznosi się na kształt budowli utrzymanej w określonym porządku, najczęściej k l a s y c z n y m, uprawnionym żywą egzystencją w tradycji kultury artystycznej. Dobrą monetą jest tylko to, co zostało sprawdzone. I w tym właśnie miejscu rysuje się głęboka przepaść między artystą współczesnym, a malarzem tylko żarliwym sentymentalnie.

Ten artysta bowiem dysponuje dystansem do sztuki, stać go na traktowanie jej w sposób ironiczny. Holender Hans Wap pokazał na Biennale „Stół do wiosłowania z championem w stołowym wiosłowaniu": mały brodaty pan siedzi w „jedynce" wyrysowanej na stole, patrząc na widza. Żart? Kpina? Groteska? Może autoironia? Na pewno coś z tego.

Kpina, żart i szyderstwo z jednej, a ekshibicjonizm moralny i biologiczny z drugiej strony, oto pojęcia charakteryzujące sztukę aktualną. Wyznaczają one zarazem dystans między twórczością, która pragnie uczestniczyć w ważnych sprawach świata, a plastyką żarliwą sentymentalnie. Ktokolwiek jednak potępiałby tę ostatnią za łatwiznę i wtórność, musiałby zakpić z najbardziej ludzkiej potrzeby — bycia kimś w i ę c e j. Osobiście uważam inicjatywę Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego za dobrą, godną sztacunku, co nie znaczy, że usiłuję zapomnieć i zlekceważyć p r o p o r c j e rysujące się w kulturze artystycznej, która bez hierarchizowania wartości nie istnieje.

IJK

Grand Prix KLEIVA PER. Norwegia. „Strona z kroniki imperializmu II".

Fot. J. Zaczyński

Ćwir-ćwir za nagrobkiem

OSOBLIWY przykład niewłaściwego pisania o sprawach kultury daje F. (Ferdynand? Fantazy?) Piątkowski w 8694 numerze „Sztandaru Ludu", w artykule zatytułowanym „A mówili, że był wielki". Na czym ta niewłaściwość polega? Bynajmniej nie na ciętości tzw. polemicznego ostrza, czego w sposób dający się wyczuć sam autor sobie gratuluje. Jeśli mamy rację, nie zaszkodzi mówić nawet najdobitniej. Niewłaściwość natomiast polega na wykorzystaniu rocznicy śmierci dla rzucania piaskiem w oczy żyjącym. Chwyt to stary, jak czasopiśmiennictwo, tak więc i tu F. Piątkowski — herold inwencji i młodości ducha — niczego nowego nie wnosi. Ponieważ podejście do rzeczy tylko polemiczne, czy tylko felietonowe — jak wykazuje praktyka wymienionego autora — dość skutecznie zabezpiecza przed możliwością zajęcia słusznego stanowiska, nie podejmę tonacji zaproponowanej „sztandarowym" artykulikiem, natomiast spróbuję się znaleźć bliżej samej rzeczywistości, to znaczy dalej od pochopnych, z satysfakcją rzucanych, mylnych i mylących obrazków.

Przede wszystkim wygląda na to, że w życzliwej pamięci postać Konrada Bielskiego zachował jeden jedyny człowiek, wszyscy inni natomiast dziwnym trafem zapomnieli. Zapomnieli nawet ci, którzy „komplementowali Go w tydzień po śmierci". Znam wielu ludzi, którzy pamięci Bielskiego oddali przysługę istotniejszą, aniżeli autor felietonu, którzy wiele chwil poświęcili wspomnieniom Jego twórczości i osoby, którzy w sprawie budowy nagrobka kontaktowali się z wieloma czynnikami i w sumie dla utwierdzenia pamięci autora „Mostu nad czasem" przyczynili się czymś istotniejszym, aniżeli 103-wierszowy felietonik. W dodatku zawierający inwektywy pod adresem Jego przyjaciół. Tak mówią fakty.

A co mówi F. Piątkowski? Posłuchajmy: „W chwili śmierci był trochę młodszy od M. Bechczyc-Rudnickiej, niewiele młodszy od najmłodszego członka Koła Młodych przy ZLP, a od pozostałych członków lubelskiego Oddziału ZLP dzieliła Go cała epoka". (Nawiasem: niech się F. Piątkowski zdecyduje jak ma to „go" pisać, bo jest i dużą i małą literą). To znaczy, że wszyscy tacy starzy? Szanowny autor nie wie, że wśród tych „pozostałych" jest jeszcze jedna kobieta.

Ale żarty na bok. Zapytajmy: na czym to polega dzisiejsza młodzieńczość literacka? Otrzymujemy odpowiedź: na recytowaniu Jasieńskiego, Sterna i Wata oraz na opowiadaniu o poczynaniach awangardy literackiej sprzed lat pięćdziesięciu. Czy F. Piątkowski słyszał coś o niedźwiedziej przysłudze? Bo ją właśnie wyrządził. Przytoczone przykłady świadczą nie o młodzieńczości, ale o pamięci i długim życiorysie. A swoją drogą — Bielski był młodzieńczy, ale z powodów, których Piątkowski nie wymienia. Był młodzieńczy, ponieważ między innymi umiał się śmiać z wszelkiej niedorzeczności, również i z tej, która się stroi w piórka dowcipu. Z „sojusznika", który jest na tyle naiwny, że nie podejrzewa rozszyfrowania jego mydlenia oczu. Zdarzało mi się często bywać w najbliższym gronie Bielskiego. O lubelskiej awangardzie — owszem — opowiadał. Nie słyszałem natomiast nigdy recytacji Jasieńskiego, Sterna i Wata. W recytatorskim programie Konrada był on sam, Leśmian, Mickiewicz, Horacy, Tuwim, Gałczyński, Czechowicz. Literackie kawały i literackie dykteryjki. Łącznie z kupletami kabaretu „Qui pro quo". Pamiętał czasy futurystów? Oczywiście. Ale porównajmy poetykę „Wczoraj i przedwczoraj" — czy współbrzmi z „Anielskim chamem", a tym bardziej „Mną z jednej strony i mną z drugiej strony mojego mopsożelaznego piecyka"? Nie futurystami zapełniał Bielski koleżeńskie wieczory przechylone kustowom dźwięcznym, podrywnym i witalnym. Sam był witalistą.

Mówili, że wielki? A kto F. Piątkowskiemu mówił, że mówili? Z czyich ust Piątkowski „wyjął" wykoncypowany przez siebie epitet? Wszyscy się zgadzają, że osobliwość, charakterystyczność tego człowieka polegała na jego antywielkości. Że nic spiżowego, prometejskiego, anhellicznego. Że dobry humor, dobra kompania i dobra wódka. Nie żadne eufemistyczne „wino". Gustował w śliwowicy paschalnej, Martineau i Budafoku, ale nie gardził również żytniówką. I tu jest sekret: bon-vivant, sybaryta, kawalarz, a tak mocny zapis w pamięci otoczenia. Bo to wszystko było przesycone umiłowaniem piękna, inteligencji, dowcipu, życia. I to było zniewalająco ujmujące, sugestycznie bliskie. A wielkim był tylko fizycznie.

Przy tym wszystkim budzi się pewna refleksja już nie dotycząca pamięci Bielskiego. Refleksję tę można wyrazić pytaniami: to tak można pisać o kulturze, przekręcając proporcje i nie troszcząc się o adresy wyssanych z palca zarzutów? Na co liczące? Że cierpliwy papier wszystko przyjmie, a wśród czytelników nie znajdzie się ani jeden, kto spostrzeże tak jawne odchylenie od rzeczywistości? Że nikt w Lublinie nie umie czytać? Osobliwe „stanowisko publicystyczne". A pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że nagrobek na miejscu wiecznego spoczynku Konrada Bielskiego po prostu... istnieje. W związku z czym proponujemy powtórną przechadzkę na cmentarz, tym razem z aparatem foto. I zmianę ostatniego zdania felietonu: „Było mi wstyd (...)" Okazuje się, że potrzebny jest czas teraźniejszy.

MECH

MOJE LEKTURY

Zamiast autobiografii

Nagrodą im. Stanisława Piętaka obdarzono w tym roku powieść Edwarda Stachury oraz książki krytyczne Krzysztofa Nowickiego i Tomasza Burka. Nie warto zastanawiać się, dlaczego właśnie „Zamiast" powieści" doczekała się tej nagrody. Tomasz Burek tematyki wiejskiej dotknął zaledwie marginalnie; gdyby nawet pisał on więcej o autorach, czerpiących inspirację z kręgu kultury chłopskiej, podstawa do wyróżnienia byłaby czysto powierzchowna. Ważniejszy jest fakt, iż Burek na tę nagrodę bardzo zasłużył. A swoją drogą kto wie, czy patronat Piętaka nie wskazuje na istotną cechę książki Burka i na podstawę programu, jaki daje się w niej odczytać. Mam na myśli jedność porządku życia i porządku literatury. Piętak, Czechowicz, B.L. Michalski — by pozostać przy nazwiskach tego samego kręgu — w wysokim stopniu swoją twórczość uwierzytelniali własnym życiem. *Kto mówi*— czytamy u Czechowicza — *że poezja to tylko kunszt, tylko majsterstwo, nigdy nie pomyślał o tym, jak my żyjemy.* Chodzi więc o relację literatury do życia, o układ akcentów.

To przeciwstawienie literatury jako zbioru konwencji i pisarstwa, jako dokumentu ludzkiej egzystencji, stanowi oś kompozycyjną książki Burka. *Już generacja* — czytamy na pierwszych stronach „Zamiast powieści" — *która debiutuje w latach trzydziestych, w obliczu kolejnych kryzysów ekonomicznych, społecznych, politycznych, moralnych, zaczyna odwracać się od fikcji artystycznej, od tego, co wydaje się próżną grą i pozorem, i kieruje swoje zainteresowania w stronę reportażu, dokumentu, kroniki, pamiętnika, powieści autobiograficznej, szuka faktu rzeczywistego, prawdziwego a nie zmyślonego.* W szkicu „Same konwencje" pokazuje Burek „dialektykę przemian literatury": z jednej strony awangarda eksponuje „literackość", co prowadzi do „powszechnego nasycenia formą", najwyszukańsze nawet formy stają się ogólnie dostępne, a w końcu ulegają zużyciu i spowszednieniu; w tej sytuacji — z drugiej strony — pojawiają się odnowiciele, którzy ten stan negują i wartość literatury upatrują poza nią samą. Na tym polega nieustanna „gra literatury z życiem".

Autora „Zamiast powieści" interesuje literatura o głębokiej samowiedzy, najżywiej obchodzą go dzieła, które legitymują się „prawdą osobiście przeżytą", wycierpianą; dla Burka literatura jest zawsze aktem świadomości, zaś prawdziwe pisarstwo powinno, jego zdaniem, przenikać do splotu życia. Takie nastawienie Burka sprawia, że sekwencja autorów i tytułów omawianych książek nie pokrywa się z listą najgłośniejszych czy najciekawszych książek z ostatnich lat. Krytyka interesują raczej problemy, a te może rozważać, posługując się zarówno książkami Parnickiego jak i Macieja Patkowskiego.

Wybór nazwisk i tytułów jest, oczywiście, całkiem arbitralny. Burek ma bowiem własny system wartości, stworzył sobie wzorzec dzieła idealnego, do którego przymierza konkretne utwory. Maksymalistycznym wymaganiom niewiele tekstów może sprostać. Krytyk nie poprzestaje jednak na opisie, nie kończy się jego zadanie na stwierdzeniu różnicy między wzorcem a poszczególnym dziełem; Burek nie unika ocen i to kategorycznych, ostrych, wysuwa postulaty, oskarża i buduje projekcje.

Szczególnie surowo został oceniony dorobek młodej prozy lat sześćdziesiątych. Stanuch, Czycz, Iredyński — powiada Burek — dowodzą czytelnikowi, że nic mu nie mogą powiedzieć. Zarzuca dalej młodej prozie „wyjałowienie z realnej treści", pozorowanie problematyki, kompromisy, ograniczanie się do marginaliów życia.

Idealnym wzorem współczesnego dzieła jest dla autora powieść, która przekształca się w autobiografię. Autobiografia taka stanowi zaprzeczenie pamiętnikarstwa i gawędziarskich wspominków. *Autobiografia szuka zasady organizującej chaos indywidualnego życia, szuka tego, co czyni je tym właśnie życiem, a nie innym, szuka jego kośćca, szkieletu, struktury.*

Dlatego tak krytycznie potraktowano tutaj „Pół wieku" Putramenta a tak entuzjastycznie autobiografie Ważyka „Kwestia gustu" i Sandauera „Zapiski z martwego miasta". Dlatego też tak wnikliwie przyglądał się Burek kolejnym książkom Leona Gomolickiego, a jego „Dzikie muzy", tę *powieść o pamiętniku jako granicznej formie literatury*, postawił tak wysoko.

Elementy programu, zawarte w książce Burka, idą przeciw tendencjom obecnej prozy. Jej bohater (zob. utwory Różewicza czy Brandysa) nie może odnaleźć swojej tożsamości, świat ich nie może się złożyć w sensowną całość, on sam nie jest w stanie zachowywać się aktywnie wobec świata, pozwala najwyżej, by ten odcisnął na nim swoją formę. Postulaty krytyka przeciwstawiają się temu stanowi rzeczy. Wzywają do aktywności, do wysiłku, do zerwania z grą pozorów. W tym miejscu widać, a Burek do tego się przyznaje, że „Zamiast powieści" wyrasta z tej tradycji naszej krytyki, która wywodzi się od Stanisława Brzozowskiego (jego „Legenda Młodej Polski" nie zdążyła się jeszcze po wojnie ukazać). Z tej szkoły narodził się też styl Tomasza Burka, bardzo emocjonalny, osobisty, często przechodzący w wielki monolog oskarżycielski, napełniony namiętnością i retorycznym uniesieniem. *Dlaczego nie wstajemy dzisiaj wstrząśnięci znad polskich książek? Dlaczego je tylko czytamy? Kiedy słowo literatury nabierze mocy nieodwracalnych wyroków? Kto będzie szalony na tyle, że uprze się przy tym, co mu historia zabiera, przy piędzi ziemi, przy źdźble trawy — i rzuci je przeciw najmocniejszym żywiołom?*

Dobrze, że mamy krytyka, który takie pytania stawia, który literaturę egzaminuje i wzywa ją do wypełniania jej podstawowych obowiązków. Co oczywiście nie oznacza, że Burek ma we wszystkim rację. Ale to byłaby inna sprawa.

Tadeusz Kłak

Tomasz Burek: Zamiast powieści. Warszawa 1971. Czytelnik.

Włodzimierz Ścisłowski

FRASZKI

Widoczek

Widoczek to uroczy,
gdy ktoś się stacza nisko!
Pan Iks się właśnie s t o c z y ! —
na w y ż s z e stanowisko.

Doniesienie z góry

Niejeden zaszedł tak wysoko,
że musi bujać wśród obłoków.

Współpraca

Jak się rozwija współpraca nasza?
Niewierny Tomasz rzekł do Judasza.

Z doświadczeń kipera

Między ustami
a brzegiem pucharu
konsumentów paru!

Sezam

Otwórz się — rzekłem — sezamie!
A sezam nic. REMANENT

Nagrobek

Pod tym głazem
leży błazen —
za śmiałość go ścięto!
Doli błazna
król też zaznał —
i to jest pointą.

Krzyżówka nr 14

POZIOMO: 1. przeprawa przez rzekę, 3. pisarz polski, autor wielu powieści historycznych, 8. cyfra, 9. przewrót, rewolta, 11. ludowy taniec kubański, 12. niewielkie książeczki z poezją, 13. przyrząd do czyszczenia koni, 16. produkt pszczeli, 18. polski poeta mający swój pomnik w Lublinie, 21. otwór w ścianie, 22. zwycięzca etapu Kraków — Rzeszów w ostatnim Wyścigu Pokoju, 24. grzyb wiosenny, 25. syn brata, 28. cienka tkanina, 29. tatarski władca, 30. piśmiennictwo, 31. operowe monologi.

PIONOWO: 1. kierunek w literaturze XIX wieku, 2. ruchliwy kopiec, 3. woreczek na tytoń, 4. jedna z rezydencji starożytnych królów perskich, wspomniana w wierszu Ujejskiego „Maraton", 5. bohater trojański, bohater znanej epopei Wergiliusza, 6. japońską wódka ryżowa, 7. stan w USA, 10. wybitny polski historyk literatury, zmarły w 1940 roku w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, 14. mania, dziwactwo, 15. okres w literaturze i sztuce na początku ery nowożytnej, 17. powierzchnia pochyła, 19. składany tapczan, 20. wieś w pow. sanockim między Beskidem Niskim a Bieszczadami, 23. niezawodowiec, 25. siwizna, 26. kamień ozdobny, 27. miejsce pracy.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

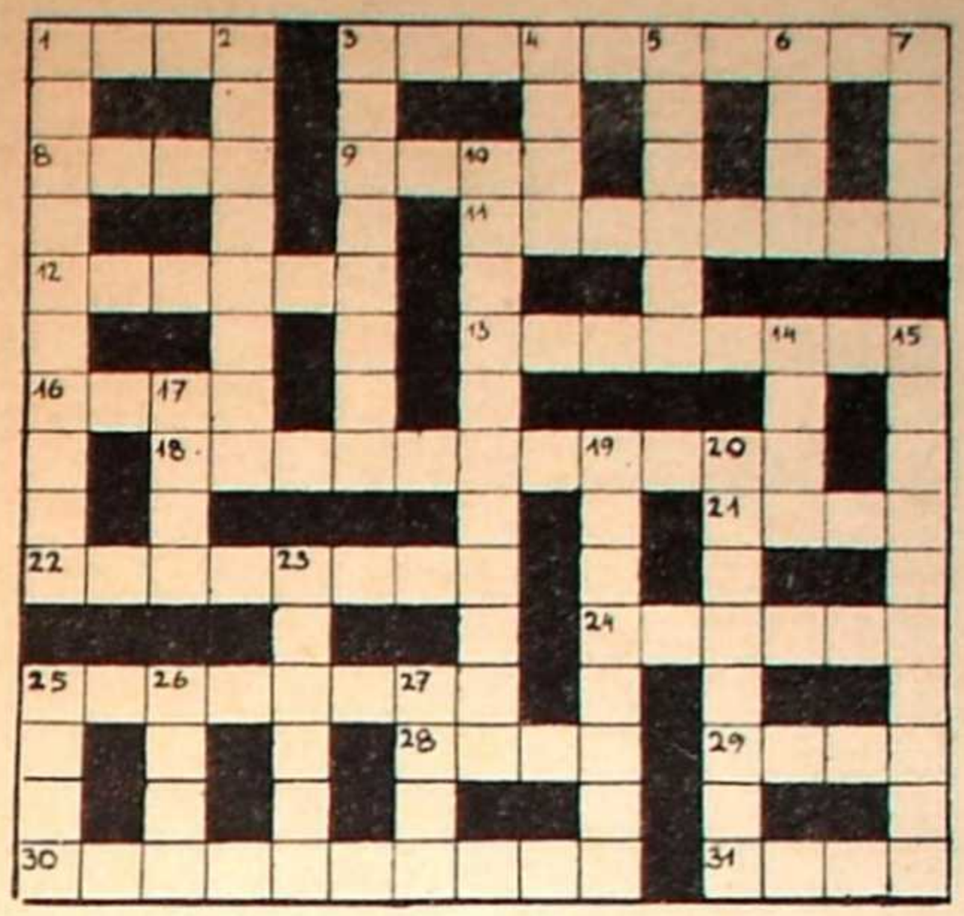

Rozwiązanie krzyżówki Nr 12

Śród drzew ustronia puste wiszą
Jak jakieś wyspy powietrzniane
Gniazda bez ptaków się kołyszą
Zsypując blachą śniegów pianę
A pustych ławek szereg długi
Stoi wiązany w blasków smugi

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 12 nagrody wylosowali: Andrzej Grobelski, Lublin, ul. Długa 88/1, Paweł Zawisza, Włodawa, Pl. Wyzwolenia 56, Józef Rowicki, Osówka, p-ta Witulin, pow. Biała Podlaska, Anna Papros, Jelenia Góra, ul. Traugutta 17/4.

Listy do KAMENY

Nie ma problemu ze szczęściem?

Uderzenie w stół, jak świat światem, powoduje zawsze określony oddźwięk. Tyleż impulsywna, co wysterowana starannie reakcja M. Zenniego na artykuł Stanisława Harasimiuka „Nie ma problemu ze szczęściem?" („Kamena" nr 9), o perypetiach kulturalnych Kraśnika Fabrycznego, jest niczym innym, jak zaciekłą obroną okopów św. Trójcy.

Pisze p. Zenni, że relacje publicysty, dotyczące działalności kulturalnej ZDK w Kraśniku Fabrycznym, są jakoby nierzetelne — z powodu minimalnego czasu, jaki poświęcił autrowi artykułu kierownik ZDK. Tymczasem dalej, w sposób jawnie niekonsekwentny, cytuje Zenni całą gamę cyfr i danych, które uzyskał od kierownika — właśnie p. Harasimiuk, w ciągu niby tych pięciu minut. Dalej sugeruje Zenni, że kierownik Brzyski o zespole „Pastele 2", grającym przy Klubie „Femina", słyszy po raz pierwszy. Czyżby? Zespół „Pastele 2" istnieje od marca 1970 roku (patrz dziennik placówki ZDK 1970/71 i protokóły analiz kontrolnych komisji k-o przy R. Z. KFWM) i dał do chwili obecnej ponad 40 koncertów (bezpłatnie!), o czym mogą zaświadczyć nie tylko rady społeczne klubów i samorządy hoteli robotniczych, w których usytuowane są kluby, ale również i młodzież Kraśnika Fabrycznego.

A może potwierdza się wersja bezstronnego p. Harasimiuka o dyskryminowaniu poczynań kulturalnych klubów, bo jeśli kierownik, któremu merytorycznie podlegają kluby nie wie nic o zespole muzycznym istniejącym i działającym w nich aktywnie od dwóch lat, to...? Albo może ktoś tu kłamie? Publicysta? Brzyski? A może ciągle p. Zenni? Zadziwiająca jest jednak naiwność tego ostatniego. Bo przecież te informacje można łatwo sprawdzić przy zwykłej konfrontacji zainteresowanych. Tą samą metodę można polecić wobec innych wypowiedzi kierownika ZDK, np. o nieprzydatności niektórych instruktorów w pracy kulturalnej Domu Kultury, co szczególnie winno zainteresować właśnie p. Zenniego. Sądzę, że przy osobistej konfrontacji kierownik Brzyski autorytatywnie potwierdzi gros swoich wypowiedzi, podanych w artykule St. Harasimiuka „Nie ma problemu ze szczęściem". Myślę, że wątpliwości co do źródła informacji będą niewątpliwie rozwiane.

Reklamuje p. Zenni swoje zasługi w dziedzinie amatorskiego teatru. Cóż... Nie wypowiadałem nigdy żadnego zdania na temat jego profesjonalnego zajęcia w ZDK. Jednakże sprowokował mnie p. Zenni do wyrażenia mojej opinii, chociaż w całym artykule St. Harasimiuka nie ma ani jednego przytoczonego przeze mnie zdania.

Uważam więc, nie będę odosobniony w tej opinii, że p. Zenniemu brakuje doświadczenia i właściwej wiedzy w zakresie opanowania warsztatu reżyserskiego. Co z tego, że dysponuje on dobrymi tekstami, jeżeli o adaptacji scenicznej ma pojęcie znikome?! Przypominam, że wbrew szumnym wypowiedziom, jego sztuka „Partyzanci" nie była wystawiana podczas IV Festiwalu Pieśni Partyzanckiej ze względu, powiedzmy delikatnie, na pewne niedopracowania.

Wypomina p. Zenni p. Harasimiukowi wyznanie, że nie docenia on statystyki. Proszę, parę cyfr. Efektem pracy każdej placówki k-o jest m. in. określona ilość imprez zorganizowanych przez ową placówkę. W 1971 r. w ZDK-KFWM przeprowadzono ok. 170 imprez (patrz dziennik placówki ZDK, protokóły kontrolne komisji k-o przy Radzie Zakładowej KFWM i informacja na zebraniu POP w marcu, podana przez kierownika).

W ZDK pracuje 10 etatowych i 8 ryczałtowych pracowników, w prostym przeliczeniu daje to 10 imprez rocznie „na głowę". W klubach hoteli robotniczych „Femina" zrobiono w ciągu 1971 roku ponad 220 imprez (patrz: dziennik placówki klubów, analizy kontrolne komisji k-o przy RZ, zebrania rad społecznych klubów, analiza pracy k-o na zebraniu POP w marcu). A pracuje tam etatowo 1 (jeden) instruktor k-o, choć powinno być ich trzech. Instruktor ten prowadzi — poza zakresem swoich czynności — zawzięcie przez p. Zenniego ignorowany zespół muzyczny „Pastele 2" i Teatr Poezji Małych Form, dający 5 premier rocznie; ostatnia to „Kwiaty biało-czerwone" na ogólnopolskiej sesji popularnonaukowej z okazji 30-lecia PPR w Zaklikowie, odnotowane przez „Kurier Lubelski z 7.II.br., „Sztandar Ludu" z 7.II.br., Polskie Radio Lublin 6.II.br., „Życie KFWM" z 13.II. br. Za swoje występy teatr nie bierze ani złotówki. P. Zenni ma na to cały etat. „Pokrzepiająca, acz niepełna statystyka", prawda?

Pociesza mnie p. Zenni dalej, że coś się jednak robi d l a Klubu, podając jako przykład prace plastyczki ZDK, p. Arent. Muszę pana rozczarować, niefortunny pan wybrał przykład. Po pierwsze, robienie wywieszek informujących o imprezach leży w zakresie obowiązków tejże osoby i nikt tu łaski nie robi, po drugie — na przestrzeni ostatnich dwóch lat (do wglądu protokóły posiedzeń samorządów hotelowych i rad społecznych klubów) odczuwa się brak rzetelnego i dorażnego opracowania plastycznego klubów hoteli robotniczych („Feminy"), a wywieszki i plakaty informujące o imprezach są robione niestarannie i budzą zastrzeżenia. Kilka d o w o d ó w, jeśli chciałby ktokolwiek obejrzeć, mogę dostarczyć. Tyle, co do konstruktywnej pomocy ZDK.

Próbuje pan dalej odwracać role, kontrolując „Feminę" z ZDK. Cóż, muszę przyznać, że było to bardzo budujące dla... „Feminy". Z jednej strony kolos z dotacją 2,5 mln zł. rocznie na działalność kulturalną, z 18 pracownikami, rozbudowaną bazą techniczną i zapleczem gospodarczym, z drugiej strony... trzy kluby „Feminy" z jednym pracownikiem etatowym, dopominającym się — p. Zenni mówi o płakaniu nad swoją nędzą — o właściwe dotacje finansowe na działalność kulturalno-oświatową dla szerokiej rzeszy osób korzystających z działalności k-o w klubach. A także o właściwe wyposażenie audio-wizualne, bo jak p. Zenniemu chyba wiadomo (może nie?), bez nowoczesnych środków technicznych ani rusz. No, ale to jest osobny temat.

Piotr Borkowski

Kraśnik Fabryczny
Klub KFWM „Femina"

Nowotwory nad wodą

W 8 numerze „Kameny" opublikowaliśmy artykuł R. Wiśniewskiego „Nowotwory nad wodą", wskazujący na zanieczyszczenie brzegów jezior lubelskich przez niekontrolowane budownictwo. Na poruszoną sprawę zwróciło uwagę Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa — Oddział w Lublinie, kierując odpowiednie pismo do Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Środowiska Człowieka. Otrzymany odpis publikujemy po niewielkich skrótach.

W trakcie wstępnych prac przygotowawczych do konferencji naukowej wysunięte zostały ze strony szeregu zainteresowanych osób pewne propozycje, które wydają się być pilne do rozważenia przez WKOŚCz, a mianowicie:

1. Nad kilku jeziorami województwa powstały już i będą rozbudowywane trwałe ośrodki wypoczynkowe. Niektóre jednak są jeszcze wolne od zabudowy i stanowią ostatnie ośrodki ciszy, ostoi dla zwierząt i wolne są od masowej turystyki. Należy do nich np. jezioro Krasne. W związku z zamierzoną budową nad tym jeziorem i innych ośrodków wypoczynkowych proponuje się: zakazać natychmiast budowy wszelkich ośrodków wypoczynkowych nad jeziorami, wolnymi w obecnej chwili od zabudowy; ustalić perspektywicznie, które jeziora będą pozostawione na trwałe w stanie dzikim (dla indywidualnych turystów) i zobowiązać władze budowlane do przestrzegania tego ustalenia; budowę dróg dojazdowych do jezior „dzikich" zostawić na późniejsze lata (możliwie najdalsze).

2. Wzorem odnośnych władz, które wprowadziły zakaz czynienia hałasu w każdej postaci np. nad jez. Zegrzyńskim czy Solną, wprowadzić podobne zakazy nad jeziorami lubelskimi. Odnośnie jezior „dzikich" należy wprowadzić całodobowy zakaz hałasu (z całkowitym oczywiście wyeliminowaniem łodzi motorowych).

3. W związku z przedłożonym Komisji Komunikacji WRN w dn. 25.V.72 r. planem perspektywicznego układu komunikacyjnego m. Lublina, który przewiduje poprowadzenie dolinami rzek głównych arterii przelotowych, tzn. przez centrum miasta (argument: geofizyczna budowa obszaru m. Lublina), należy odpowiedzieć na kilka pytań: Czy plan ten był konsultowany z punktu widzenia ochrony środowiska? Czy 30—60 metrowej szerokości pasy wlw arterii nie powinny być pasami bulwarów i zieleni dla mieszkańców centrum miasta? Czy ogromne ilości pojazdów, przejeżdżających tranzytem na b. ruchliwej trasie turystycznej Gdańsk — Warszawa — Lublin — Lwów — Morze Czarne — musi pozostawiać w centrum miasta zanieczyszczenia (i hałas), których i tak, w związku z rozwojem motoryzacji, nie będzie Lublinowi brakować?

Sekretarz Zarządu
Mgr Janusz Madeński

Kto to napisał

Szanowny Panie Redaktorze!

Wziąłem ostatnio do ręki z dawna oczekiwany folder poświęcony Nałęczowowi (WAG, Kraków 1971). Tekst do tego pięknie pod względem graficznym opracowanego wydawnictwa napisał Zdzisław Tataj. Czytałem z zaciekawieniem, któremu rychło zaczęło towarzyszyć zdziwienie, bowiem rozpoznałem tam całe partie napisane... przeze mnie. W tym miejscu trzeba się jednak cofnąć do początku całej historii.

W 1970 r. dyrektor Uzdrowiska Nałęczów, mgr Jan Głowecki, zwrócił się do mnie z prośbą o opracowanie tekstu do folderu poświęconego uzdrowisku. Umowa miała charakter ustny, pisemna miała nastąpić po znalezieniu wydawcy w postaci jednej z instytucji lubelskich. Ponieważ jednak rzecz nie dochodziła do skutku, tekst powędrował do teczki. Po paru miesiącach sprawa odżyła w innym kształcie. O folderze nałęczowskim pomyślał kto inny i wtedy to p. Zdzisław Tataj, kierownik działu k.o. uzdrowiska, wystąpił z propozycją, by przekazać mu tekst niedoszłego folderu, który — uzupełniony i zmieniony — stanowiłby naszą wspólną pracę. I oto czytam wspólny tekst, który firmuje tylko p. Tataj. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Jeśli jednak sąsiedztwo drugiego autora stało na przeszkodzie, należało wszystko napisać na nowo i nie byłoby podstaw do pretensji.

Upominam się o współautorstwo także dlatego, iż jest to już drugi podobny wypadek: swego czasu wystąpiłem wobec dyr. Głoweckiego z projektem wydania informatora dla kuracjuszy. Napisałem (społecznie) większą część tekstu, lecz w druku znalazło się tylko jedno nazwisko — również nie moje. Stąd i niniejszy list, który — mam nadzieję — zechce Pan wydrukować.

Tadeusz Kłak
Katowice

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI, Redaktor techniczny — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1594. 14.VI.72. 10.520. B-4.

minuta myślenia

Gdybym umiał rysować

ŻAŁUJĘ, że nie mam zdolności rysowniczych. Robiłbym portrety niektórych moich znajomych. Nie, niech sobie nie myślą, że zasługują na upamiętnienie. Robiłbym to tylko z nudów. I wyobraźcie sobie, że bez pasji! Rezygnując ze stanowiska dezaprobującego, czy podminowanego ostrą niechęcią. Znam ich. Wiem, że się zmieszczą w całkiem możliwych do przyjęcia odchyleniach od normy moralnej, intelektualnej, honorowej. Robiłbym to może i z wdzięcznością, jaką zwykle rysownik podświadomie odczuwa wobec swego, choćby i pośledniego, modela.

A więc konterfekcik numer jeden.

Chciałbym umieć wyrazić w jego rysach, że ten człowiek początkowo nie żądał wiele. Ot, w ramach jakiejś tam „troski” czy „uwagi” wystąpił z pretensjami całkowicie mieszczącymi się w danym układzie stosunków. Chodziło mu, dajmy na to, o zwykłą podwyżkę, czy dodatek do pensji. Ale to się później okazało nareszcie widocznym rozwinięciem indywidualności. Wyjściem z pozycji biernych i wyczekujących. Wyrazem zaangażowania. I ów człowiek w to uwierzył. Teraz jest święcie przekonany, że kiedykolwiek forsuje rozwiązanie, w którego konsekwencji wypływa jego własny interes (początkowo istniejący jako motor, a nawet promotor propozycji społecznej), czyni to na zasadzie szczerego odruchu obywatelskiego. Tak się szczęśliwie utwierdził w powodzeniu zabiegów o ściśle własną, ale małą sprawę, że z równym poczuciem słuszności nachyla ku sobie i sprawę nieco większą. Z kolei — jeszcze większą. Okropnie społecznieje — ani na jotę nie zmieniając pierwotnej intencji swojego postępowania. Co mu w tym pomaga? Siła oczywistości. Powiedzmy dokładniej: komunału. Bo podanie komunału też się liczy. Że zło jest złem, wszyscy wiedzą. Ale jeśli się przy tym uniesie trochę czoła, zmarszczy brew, nadedrze szaty? To już zmienia postać rzeczy. To już wtedy nie przemawia skłonność łatwizn myślowych. To przemawia wzburzone sumienie społeczne. Właściwie o co chodzi? Jemu tylko o szczebel na drabinie.

Konterfekcik numer dwa.

Nawet kiedyś zaliczał się do ludzi umiejących patrzeć krytycznie. (Może jeszcze umie? Tym gorzej o nim świadczy). W tym miejscu kreska traci swą wyrazistość, bo nie wiadomo kiedy i po co zrezygnował z ostrego widzenia rzeczy przechodząc na pozycje ulgowe. Postarał się o zwolnienie z przyrodzonych funkcji umysłu. Również tego, co się obejmuje ogólnym mianem ducha. Ba — nie mając ku temu żadnych powodów, bo nigdy nie spotkawszy się z niechęcią ludzi, w których środowisko kiedyś wchodził, wystrzeliwuje przeciw nim drobną amunicję drobnych docinków jakby na wszelki wypadek. A priori. Uprzedzić ewentualny odruch sumienia czy resztkę honoru. Odciąć sobie drogę odwrotu, bo niepewność w balansie przed kałużą jest dokuczliwsza od osiągniętego już błota. Czy żałuje, że w końcu wytworzył na sobie grubą skórę? Że musi wyrażać głośno dezaprobatę wartości, które w obrachunkach z samym sobą jeszcze nie całkowicie skażonym ceni i uznaje za ważne? Tak, w zamian ma pewne korzyści, ale przecież będzie chyba kiedyś pisał pamiętnik! A wtedy albo — albo. To drugie to już całkowite wyrzeczenie się siebie jako tako jeszcze oddającego sprawiedliwość widzianemu światu.

Konterfekcik numer trzy.

Narcyz to przy nim niebaczny ekstrawertyk. On nie mówi, nie pisze: mizdrzy się słowem. Jest zachwycony, że w ogóle coś przeczytał, że zna nazwiska Jaspersa i Radamantesa (już go widzę nurkującego w encyklopedię), że potrafi włożyć w zdanie „dowcip” i „podtekst”, którego „cienkość” sam tylko jego własny umysł jest w stanie pochwycić. Zupełnie przy tym zapomina, że surowość pozostawania przy zasadach myślenia jest również oznaką kultury. Tym bardziej, kiedy po kobiecemu łatwość prześlizgnięcia się słowami nad obszarem zagadnienia wymagającym refleksji nieustannie grozi popadnięciem w pozornie inteligentną „plepisię”.

Istnieje mowa pozornie zależna. On operuje pozornie inteligentną. Przy czym nie można przypuszczać, że nie zauważa popełnianej przez siebie intelektualnej nieuczciwości. Jego ekskursje nie sięgają rejonów, gdzie przed pomyłką może ocalić tylko wyjątkowa sprawność umysłu. Ale cena prawości (do której zresztą nie jest nadmiernie przywiązany) jest przecież tym, czym się opłaca „oryginalność”, „wyjątkowość” i pozycję cudownego dziecięcia intelektu. Tym się zdobywa „prawo” do nonszalancji, za którą jakże łatwo ukryć pozory racji niepomiernie przekraczających umysłowe kompetencje każdego z przeciwników. Bo przecież oni na nonszalancję sobie nie pozwalają. Wniosek: są to poczciwe trusie zasadami taktu maskujące umysłową nijakość i tak zostaną potraktowani przez publiczną opinię, którą trzeba zdobywać właśnie ekstrawagancją.

Tak rysowałbym. Nawet — powtarzam — z wdzięcznością dla swych modeli za dostarczoną sposobność kształcenia zmysłu obserwacji. Reszta przecież idzie i tak na ich rachunek.

Ijon

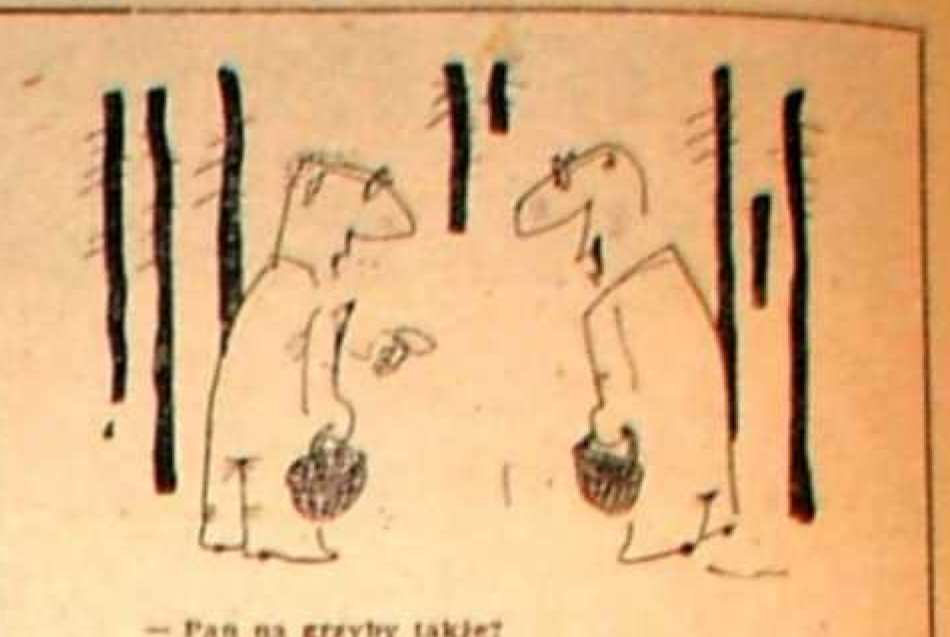

— Pan na grzyby także?
— Nie, ja na delegację służbową.

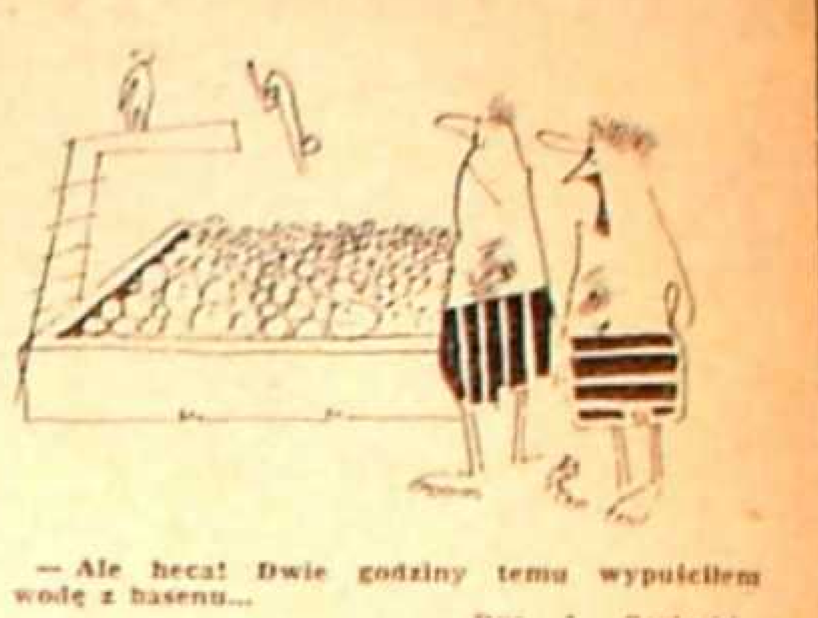

— Ale heca! Dwie godziny temu wypuściłem wodę z basenu...

Rys. L. Szalecki

falsetem

Do serca przez żołądek

Z DRAMATYCZNYM apelem wystąpił na łamach „Kultury” (nr 25) Aleksander Małachowski. Zwrócił się do dyrekcji, rady zakładowej i organizacji partyjnej Zakładów Azotowych w Puławach, aby zmieniły swój stosunek do sprawy budownictwa domu wypoczynkowego w Kazimierzu, rezygnując z przyznanej im lokalizacji. „Przecież — stwierdził autor stałych felietonów „Pamiętnik współczesny” — można postawić równie piękny dom w Bochotnicy albo po drugiej stronie Wisły, można odkupić i odbudować zamek w Janowcu...”

Sądzę, że każdy rozsądnie myślący człowiek podtrzyma apel Małachowskiego. Cały urok Kazimierza tkwi w dniu wczorajszym, który tu (jeszcze!) zachował się niczym w skansenie. Mało mamy takich miejsc w Polsce, trzeba ich więc strzec jak największego skarbu. Jeśli Prezydium Rządu podejmie uchwały o rozbudowie takiego czy innego miasta, to w wypadku Kazimierza powinno postąpić wręcz odwrotnie: konserwacja — tak, ale wzniesienie każdego nowego budynku muszą poprzedzić długie konsultacje. Nieprzemyślane, pośpieszne decyzje doprowadzą po prostu do tego, że Kazimierz przestanie być Kazimierzem. Doświadczenia zakopiańskie w tym względzie stanowią groźne ostrzeżenie.

I dobrze, gdy nowy konserwator, mgr Żurawski, któremu Minister Kultury, jak pisze Małachowski, nadał uprawnienia konserwatora wojewódzkiego, zaczął wprowadzać do Kazimierza elementy zdrowego rozsądku. Serdecznie będziemy wspierać jego poczynania, bo sprawa nadwiślańskiego miasteczka jest nam bardzo bliska. Ale nawet człowiek o uprawnieniach konserwatora wojewódzkiego może skapitulować, jeśli ponad jego głową zapadają decyzje o lokalizacji takich czy innych domów wypoczynkowych. Budujmy domy wypoczynkowe w rejonie Kazimierza, do maksimum usprawnijmy komunikację samochodową, przeprawy przez Wisłę, ale nie pchajmy Kazimierza siłą w wiek XXI. Osobiście ograniczyłbym ruch pojazdów w samym mieście. Przekształcenie rynku w parking jest może wygodne dla posiadaczy czterech kółek, ale gwałci poczucie estetyki, a szum motorów niweczy ciszę, spokój. Byłbym też za ograniczeniem sprzedaży napojów alkoholowych, a przynajmniej za wyeliminowaniem tańszych gatunków wódek. Pijany na ulicach Lublina — denerwuje, pijany na uliczkach Kazimierza doprowadza do pasji.

Z drugiej strony denerwujący jest też widok dużych grup wycieczkowych — widzi się to zwłaszcza w niedzielę — które przez długie kwadranse wyczekują na wolne miejsca w „Esterce”. Nie wiem, czy nie warto byłoby skorzystać z doświadczeń Stołecznego Zjednoczenia Gastronomicznego. Tutaj cytuję informację, która na pierwszy rzut oka wygląda jak kawał primaaprilisowy. „Polityka” (nr 25) donosiła:

„BUFETY DOMOWE, lansowane przez Stołeczne Zjednoczenie Gastronomiczne, stanowią wyłom w biurokratycznym murze, którym obwarowane zbiorowe żywienie. Założenia akcji zasługują na szeroką popularyzację: bufet może otworzyć każdy obywatel, który ma ochotę zarobić na sprzedaży posiłków. Przysługuje mu prawo do zaopatrywania się w sklepie wskazanym przez wydział handlu. Ceny potraw są dowolne, byle nie były wyższe od połowy wartości surowca. Na koniec sensacja — całe przedsięwzięcia prowadzona będzie bez żadnych dokumentacji, sprawozdawczości i podatków”.

Gdybym był przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kazimierzu, natychmiast wziąłbym delegację i pojechał do Warszawy, a później — w razie potrzeby — wydeptywał korytarze i gabinety Prezydium Powiatowej, a może i Wojewódzkiej Rady Narodowej. Bez żadnych, dosłownie ż a d n y c h, inwestycji zostaje w Kazimierzu (i nie tylko) rozwiązany problem, któremu na imię OBIAD. Dla wielu rodzin wycieczkowicz, turysta przestaje być przysłowiową stonką, okupującą nieliczne sklepy spożywcze, a staje się źródłem dodatkowego zarobku. Zdaję sobie sprawę, że mogą zdarzyć się i tacy, którzy zechcą na tym bezpodatkowym żywieniu szybko zarobić i szybko dorobić się. Ale od czego są sensowne kontrole? Podkreślam s e n s o w n e, by z góry nie skazać całej akcji na niepowodzenie.

Zawsze, gdy jestem w Kazimierzu, ze zdziwieniem obserwuję wielometrową kolejkę jaka formuje się przed pewnym domem, którego (jak myślę) właściciel wyspecjalizował się w produkcji włoskich lodów. Lody są rzeczywiście doskonałe, ale nie sądzę, aby ich producent działał z pobudek altruistycznych. Po prostu człowiek miał głowę na karku. Zapewne zarobi w sezonie, i to nieźle, ale jednocześnie tysiące turystów zaspokoi swoje pragnienia. Gdzie jak gdzie, ale w miejscowościach turystycznych nie zwalczałbym, ale popierał prywatną inicjatywę. Pod warunkiem, że będzie ona karmić, a nie truć alkoholem. Pod warunkiem, że będą w pełni przestrzegane wszelkie zasady higieny.

Rzuciłbym hasło: zielone światło dla wszelkiej ludzkiej inicjatywy. Zarówno społecznej, jak i indywidualnej. Ale mrówki przeszły mi po ciele, gdy przeczytałem to, co napisał „Kurier Lubelski” o skandalicznej pracy GS-owskiej gastronomii w rejonie trójkąta Nałęczów — Kazimierz — Puławy. I jeśli Małachowski apeluje do wszelkich władz Zakładów Azotowych, ja ośmielam się zwrócić do przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie i przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach, aby położyli kres truciu ludzi!

Od kształtu wczorajszego i jutrzejszego Kazimierza doszedłem do żołądka. Nie na darmo się jednak mówi: do serca przez żołądek. Zdrowy, oczywiście!

MAJ

Noty i notki

W związku z notką w nr 12 wojewódzki konserwator zabytków przesłał obszerniejszy list, w którym wyjaśnia: 1) wykaz zabytków woj. lubelskiego z 1971 roku został wydany przez PTTK, 2) konserwator (podobnie jak ja) zgłaszał obiekcje co do ograniczenia wykazu tylko do samego wyliczenia obiektów, 3) w wyniku nalegań Komisji Opieki nad Zabytkami przy PTTK napisał przedmowę o zabytkach architektury i budownictwa, nie wiedząc, że w wykazie znajdą się także inne obiekty, 4) Biuro Dokumentacji Zabytków przygotowuje pełne powiatowe spisy. No cóż — tak to bywa, gdy ktoś działa w zbytnim pośpiechu i niezupełnie w swojej dziedzinie, co dotyczy PTTK.

Zgodnie z wyznaczoną datą przyjechałem 16 czerwca do stacji obsługi TOS przy ul. Wojciechowskiej w Lublinie, aby dokonać okresowego przeglądu technicznego „Syrenki”. Najpierw polecono mi przyjechać ponownie po południu. Po energicznym proteście młody człowiek przez 5 minut zajął się samochodem, stwierdził, że nie działa hamulec jednego z przednich kół, ale mimo to potwierdził rejestrację i zezwolił wyjechać. Gdy zdziwiony odpowiedziałem, że wobec tego będę jeździł z niesprawnym hamulcem zagrażając śmiercią sobie i innym oraz że proszę o naprawienie hamulca — usługi nie wykonano, bo jakiś majster szedł na urlop, a ten drugi mógł nie wiedzieć o co by chodziło. A potem się dziwimy, że jest tyle wypadków na drogach.

Z Charonem — wciąż kłopoty. W poprzednim numerze wytknąłem „Życiu Warszawy”, że pisze się Charon a nie Haron, a tu znowu czytam — tym razem w wierszu Eugeniusza Szulborskiego w nr 6 białostockich „Kontrastów” — „balast z łodzi Harona”. A nieco wyżej w tymże wierszu jeszcze bardziej obrzydliwy błąd: „zwykła piliśnia”. I zastanawiam się, czy wiersz z takimi błędami to już poezja czy jeszcze poezja.

„Joanna Rawik nie żyje” — doniósł na pierwszej stronie „Głos Szczeciński” w nr 137. Następnego dnia, również na pierwszej stronie, informacja: „Joanna Rawik żyje i powraca do zdrowia”. Pikanteria polega na tym, że pod pierwszą informacją widniało signum autora — (bg), druga zaś była anonimowa i zrzucała odpowiedzialność na „część nakładu „Kuriera Polskiego”, skąd informację przedrukowano.

„Czytuję dość często „Times'a”, jestem więc chyba gentlemanem. Wprawdzie nie posiadam cylindra, ale mam za to ułańskie czako” — wyznaje lekkomyślnie felietonista „Tygodnika Kulturalnego” (nr 25), podpisujący się w dodatku także „Gentleman”. Kończy zaś tak: „Bo my, gentlemani, wiemy tylko jedno: jak katem nie być”. Mój Boże! Gdyby „Gentleman” wiedział, co robili angielscy gentlemani w XVIII czy XIX wieku w koloniach, pewnie nie zechciałby przybrać takiego pseudonimu, nawet jeżeli czytuje i inne gazety angielskie.

JOD

„Trybuna Ludu” z 17 czerwca br. podaje wyniki meczu lekkoatletycznego W. Brytania — Polska. Czytamy: KULA: 1. Komar (P) — 20,25 (rek. Polski) "47.2 D „::mrfluIĆN (Rekord Polski)”. Bardzo dziwne nazwisko ma ów drugi miotacz. I dlaczego z wynikiem 47.2 zajął on miejsce po Komarze? Czyżby brak protekcji w... korekcie?

Warszawski miesięcznik regionalny „Barwy”, cierpiący na brak atrakcyjnych materiałów, prowadzi na drugiej stronie rubrykę pt. „Z prasy społeczno-kulturalnej”. Tytuł wcale nie oznacza, że „Barwy” szukają co ciekawszych problemów. Szukają, ale potknięć — większych, mniejszych lub nijakich. Nic nie mamy przeciwko tej formie popularyzacji prasy społeczno-kulturalnej, ale chcielibyśmy zauważyć, że poza „Odrą”, „Pobrzeżem”, „Nurtem”, „Kameną” wychodzą również „Kultura”, „Życie Literackie”, „Tygodnik Kulturalny” itp., itd. Czyżby tych pism autor rubryki, niejaki Jes, nie czytywał? Red. Gaworski, pogoń nieco swego pracownika. Niech się nie leni!

Drukarze Lubelskich Zakładów Graficznych im. PKWN z okazji zdobycia przez zakład Sztandaru Przechodniego Rady Ministrów i CRZZ za zajęcie I miejsca w międzyzakładowym współzawodnictwie pracy w przemyśle poligraficznym za rok 1971 (serdecznie gratulujemy!) wydali w 500 egzemplarzach jednodniówkę pt. „Dzień drukarza”. Musimy przyznać się do brzydkiej cechy charakteru: z a z d r o ś c i m y! Papieru i pięknego czystego druku.

MAJ

Odpowiedzi redakcji

„PE z Lublina”. Być może, iż pięć lat temu radziliśmy Panu dalszą pracę nad sobą, być może nawet zachęcaliśmy Pana do tego. Było to dawno i doprawdy trudno nam spamiętać wszystkich autorów, którym udzieliliśmy podobnych odpowiedzi. Trzeba pamiętać, że nigdy nie możemy podejmować odpowiedzialności za ostateczne rezultaty owej pracy, co zawsze lojalnie podkreślamy, udzielając tego rodzaju rad. W Pańskim przypadku praca nie dała pożądanych rezultatów i wydaje nam się, że nie ma co się nadal łudzić. Pańska wyobraźnia nie może wywikłać się ze zbanalizowanej frazeologii poetyckiej typu: „kształt łabędziej szyi”, „słów potok” etc., „piękności” dawno zwietrzałe. „Na wodę rzuć, miła, liść lauru, pardon — bobkowy”. Otóż właśnie to — nie lauru, lecz bobkowy liść oplata głowę Pańskiej muzy.

W. D. w Lublinie. „Odszedłem od wszystkich, w poezji chcę być szczęśliwy”. W poezji, proszę Pana, trzeba być przede wszystkim trochę nieszczęśliwym, żeby coś osiągnąć. W ogóle istnieje teoria, że każdą twórczość rodzi pewien rodzaj ludzkiego nieszczęścia, jakaś skaza osobista autora. Pan wydał nam się młodzieńcem niefrasobliwym, a ponadto zakochanym pierwszą naiwną miłością. Czego Panu brak? Dojrzałości, czytania. Jest jeszcze czas na osiągnięcie tego. Jeśli idzie o talent literacki, to na razie trudno nam się wypowiedzieć. Chyba za wcześnie na tego rodzaju wyrokowanie.

W. A. Ch. w Kielcach. Stwierdzenie: „teksty nie zyskały naszej akceptacji” zrozumiał Pan należycie, tak że właściwie nie byłoby o czym dalej mówić. Ale Pan jest uparty. Odpowiadamy więc — razi nas pretensjonalność tych tekstów, sztucznie nadymana „poetyczność” aż do... mdłości. Chcieliśmy Panu oszczędzić tych kilku gorzkich słów, ale Pan się właśnie uparł, żeby je usłyszeć. Łączymy pozdrowienia.

S. K. w Wiśnicach. Tekst nie do odcyfrowania, o czym zawiadamiamy z przykrością.

A. J. w Lublinie. Pierwsze doświadczenia, pierwsze porywy dziewczęcego serduszka, sympatyczne wierszyki. Wszystko się zgadza. Rzeczywiście „trudno powiedzieć o trwałych i stałych zainteresowaniach”. Pewną wrażliwość odnajdujemy w tych tekstach, ale tylko tyle. Sakramentalna rada — uczyć się i dużo czytać, uzbroić się w cierpliwość, może akurat chęć do pisania nie przejdzie i coś z tego w przyszłości się wykluje?

M. O. w Lublinie, „Izabela O.” (nie podane miejsce zamieszkania), **„Pesart”** (nie podane miejsce zamieszkania), **A. G. w Siedlcach, S. R. w Koninie, W. D. w Lublinie, M. S. w Olsztynie, J. H. K. w Szczecinie, W. L. w Krakowie** — teksty nie zyskały naszej akceptacji.

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Tego jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na seriale dziś moda. Powieść, którą po skróceniu drukujemy w odcinkach, wygląda na autentyczny folklor młodzieżowy, należy bowiem podejrzewać raczej zbiorowy akt twórczy, a tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła — „Smak miłości i łez”. Dopisek — „Autor nieznany, życie współczesne”. W czasach, kiedy oficjalna młoda proza pławi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młódź kultywuje cudownie liryczne i serdeczne wzorce uczucia, łagodnego, prostego i nieśmiertelnego, acz nie bez srogich przeciwności losu.

Ninę Grodzką łączyła ongiś wielka i niezbyt fortunna miłość z Mariuszem. Kochankowie musieli się rozstać na długie lata, nic o sobie nie wiedząc. Nina skończyła medycynę i odbywa właśnie praktykę w pewnym szpitalu, dokąd przypadkiem trafił dawny przyjaciel Mariusza, obecnie sierżant Sakowski. Między tym ostatnim a Niną nawiązuje się coś jakby na kształt uczucia, przynajmniej ze strony sierżanta. Sakowski pisze ze szpitala list do Mariusza i taką otrzymuje odpowiedź:

(7)

„Drogi Przyjacielu, na samym początku pozdrawiam cię. Takiego listu nie spodziewałem się. Dużo dowiedziałem się o Ninie. Odwiedzę cię wkrótce, tylko pod warunkiem, że nie spotkam się z Niną. Kończę, zostawiam pozdrowienia. Mariusz”.

Kiedy Mariusz przyjechał, Sakowski Zbyszek zapytał:

— Czy ty naprawdę nie chcesz spotkać się z Niną?

— Nie chcę, Zbyszku.

— Mariusz, jak widzisz Ninę w przyszłości? Chciałbym, żeby wyszła za mąż.

— Och, ona chyba nie wyjdzie.

— Ale, wiesz, wspaniała z niej kobieta. Mariusz, ja przed tobą nie chcę ukrywać, ja kocham Ninę.

— Ja też — odparł Mariusz.

— Ja chętnie bym się z nią ożenił — powiedział Sakowski. — Ale ona, cóż, powiedziała, że potrafi tylko raz kochać.

W oczach Mariusza zakręciły się łzy.

— Potrafi, ona potrafi i ciebie, Zbyszku, pokochać. Ona potrafi. Ja... nie...

Rozmawiali tak jeszcze ze dwie godzin. Później Mariusz udał się na stację kolejową. Miał jeszcze cztery godziny do odjazdu pociągu. Poszedł rozejrzeć się po cmentarzu. Pod jednym z kasztanów stała ławka. W tej chwili Mariusz poczuł, jak jest zmęczony. Wprawdzie na ławce siedziała kobieta zwrócona do niego plecami... Usiadł na ławkę. Młoda kobieta siedziała na ławce, odwróciła się do niego i cicho szepnęła:

— Mariusz, Mariusz... — I spojrzała w jego kierunku. — Boże! — I upadła na ławkę.

— Nino, Nino, Nino!... — Nie była to Nina, którą kochał kiedyś. Była bardzo piękna kobieta.

Otworzyła oczy i znowu spojrzała na niego.

— Mar... — I znowu upadła. — Mariusz? Co ty zrobiłeś? Sutanna...

— Nino, musiałem tak postąpić. Ty nie byłaś dla mnie. Ja dla ciebie byłem nieodpowiedzialną partią. Ciebie stać na lepszego męża. A ja mogłem poślubić tylko ciebie, żadnej innej. Zostałem księdzem. Nino, czy ty kochasz mnie jeszcze?

— Kocham, kocham, kocham...

— Nino, czy zrobisz dla mnie jeden krok. Ja ci tego powiedzieć nie mogę. Jutro się dowiesz...

Kochali się dotychczas oboje, kochali się. Lecz jakże inne było ich spotkanie. Nie widzieli się kilka lat. Kiedyś, gdy nie widzieli się kilka dni, nie mogli się sobą nacieszyć. A teraz? A przecież łączyła ich miłość. Trzeba było się rozstać. Mariusz miał spieszyć do pociągu. Rozstali się, podali sobie ręce. Tylko ręce.

W rok później w kościele w Miłowie młody, dopiero po wyświęceniu ksiądz Mariusz Prochowicz wiązał ręce panny Niny Grodzkiej i Zbyszka Sakowskiego. Był to pierwszy w jego życiu ślub. Młodzi składali sobie wzajemną miłość i uczciwość małżeńską. W chwili gdy ksiądz Prochowicz mówił: „I ślubuję ci miłość, wiarę i uczciwość małżeńską”, a Nina za nim powtarzała, oczy zaszły mu łzami. Ona również spuściła głowę. Duża łza wypłynęła z oczu Mariusza i kapnęła na nos Niny. Następnie powoli przesunęła się do jej ust.

„Ach, jak słone są twoje łzy, Mariuszu, a tak słodkie były usta” — pomyślała Nina.

Przez następne lata pani doktór Sakowska pracowała w rodzinnym Miłowie. Ksiądz Procchowicz wyjechał w drugi koniec kraju. Obydwoje często powtarzali: „Słodkie są usta spojone w pocałunkach miłosnych, lecz słone są łzy miłości”. Miały nastąpić jeszcze dalsze koleje ich życia...

(Den.)